czas. 2552/1982/9

Waldemar Piasecki pisze po powrocie z Hiszpanii:

KULISY ESPANA '82

str. 8

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Rok założenia 1933

kamena

NR 9 (755) 1 - 14 sierpnia 1982 CENA 10 ZŁ

NIE DAJMY SIĘ ZWARIOWAĆ

albo szalejmy taniej

Ireneusz J. Kamiński

RZECZ będzie o mitach, pieniądzach i moralności. Rzecz będzie zatem na czasie, mitów bowiem i pieniędzy mamy coraz więcej, a i moralność dochodzi czasem do głowy, szkoda tylko, że z reguły na łożu śmierci.

Przy końcu minionego roku dwaj malarze kieleccy, Zbigniew Kurkowski i Adam Wolski, znani w Lublinie z udziału w niegdysiejszych „Wystawach 4 Województw", w których prezentowali się dobrze, wpadli na pomysł urządzenia ogólnopolskiej aukcji dzieł sztuki w cesarsko-królewskim mieście. Pomysł nie był zapewne zbyt oryginalny, w ostatnich latach różne orientacje artystyczne i polityczne żwawo organizowały takie i siakie aukcje ,ale zapowiedź zrealizowania go w czasach, jakie nastały po 13 grudnia, trąciła nieporozumieniem, kryjąc, zdawało się, obietnicę kompromitacji całej inicjatywy. Jakim bowiem cudem mogło dojść do aukcji, skoro większość krajowego środowiska plastycznego zawzięła się w sobie po „trzynastym", przystępując do generalnego bojkotu wystaw i innych imprez artystycznych?

Dokończenie na str. 5

Rys. Zygmunt St. Pytlik

Głos w dyskusji o ZLP

U literatów remisowo

Henryk Pająk

ZWIĄZEK Literatów Polskich nadal nie funkcjonuje i czytelnicy coraz częściej pytają: co z pisarzami? Tacy np. dziennikarze zmienili nazwę stowarzyszenia; przestawili szyki i barwy — a o literatach ani słychu.

Z tych pytań i rozterek wziął się dyskusyjny (mam nadzieję) głos kol. K. Koźniewskiego w „Trybunie Ludu" (12.VI), któremu wkrótce odpowiedzieli polemicznie: A. Tatarkiewicz, E. Osmańczyk, J. Przymanowski i E. Kabatc. Zanim moje uwagi wokół tego tematu znajdą się w „Kamenie", z pewnością przybędzie nam innych głosów. Sprawa jest pilna, ważna i mocno doskwierająca samym pisarzom.

Niezależnie od dalszego przebiegu dyskusji, dla mnie najbardziej znamienny, a zarazem dyskusyjny jest głos kol. Koźniewskiego, jego retoryczne tezy, a właściwie to brak konkretnych propozycji, co zresztą słusznie wypomina mu Kabatc.

Otóż Koźniewski stawia kilka retorycznych kwestii, wobec żadnej się nie deklarując, co staje się wygodne dla niego samego, ale uruchamia cały szereg wątpliwości i niepokojów i sprawia, że w jego publikacji znacznie ważniejsze staje się to, czego nie powiedział, niż to, co powiedział.

Powiedział niby dużo. W konkluzji stwierdza tzw. tłustym drukiem, że model Związku Literatów „AD 1981 trwać już dłużej nie może" i albo trzeba powrócić do „iwaszkiewiczowskiego" wzorca, lub postawić tylko na związkowy (zapomogowo-stypendialny) model związku zawodowego literatów, albo, wreszcie, na organizację ideowo-polityczną, świadczącą przy okazji usługi socjalno-bytowe. Koźniewski oczywiście ani słowem nie zaspokaja ciekawości czytelnika, oczekującego odpowiedzi uzasadniającej stwierdzenie, że model dotychczasowy „trwać już dłużej nie może". Do tej apriorycznej enigmatyczności dostosowali się także Koźniewskiego (pozorni) polemiści i oponenci; a przecież cała ta dyskusja toczy się na łamach centralnych pism, jest więc przeznaczona nie dla 1400 pisarzy, lecz dla milionów czytelników. Skoro tak, to dotychczasowi dyskutanci mijają się z celem, bo nie rozstrzygają o istocie sprawy, a jedynie orzekają, że ma być tak a tak.

Nie mówią mianowicie o tym, jaki ten związek był przez 30 lat. O tym, jaki był w latach poprzedzających Sierpień. I o tym, jaki był po Sierpniu, a zwłaszcza po ostatnim nadzwyczajnym zjeździe literatów. I wreszcie o tym, co się właściwie stało, że związek jest do dziś pod narkozą. Wszyscy gotowi są oburzać się na podstępne tytułowe pytanie Koźniewskiego: „Czy Związek Literatów Polskich jest nam potrzebny?" — że ależ tak, jest nam potrzebny, w czym celuje zwłaszcza patetyczna retoryka Kabatca. A czytelnik dalej nic nie wie i snuje bulwersujące domysły w rodzaju: ale się musi kotłować wśród pisarzy!

Nie uchylając ponad przyzwoitość alkowianych kotar Związku, spróbujmy ano przyjrzeć się niektórym „incydentom", a zwłaszcza tendencjom o szerszym charakterze i znaczeniu, jakie miały miejsce na jego obszarze w ostatnich 8-10 latach. Taka retrospekcja staje się niezbędna dla uściślenia pojęcia „modelu iwaszkiewiczowskiego", za którym zdaje się optować również Koźniewski. Otóż był to, jego zdaniem, „model łączący elementy związku zawodowego i elementy związku ideowo-twórczego. Wymaga on jednak jednego podstawowego warunku: wyciszenia i redukcji wybuja-

Dokończenie na str. 3

z notatnika

16 VII. P. Władysław Stefan Grzyb od ponad dwóch lat walczy (tak — walczy to odpowiednie słowo) o to, aby jedna z ulic naszego miasta otrzymała imię Mieczysławy Ćwiklińskiej, która właśnie w Lublinie przyszła na świat w dniu 1 stycznia 1880 roku.

Inicjatywy nie udało się zrealizować w 1980 roku — w stulecie urodzin wielkiej aktorki, ale teraz jest kolejna okazja. 28 lipca mija dziesiąta rocznica jej śmierci.

Ignacy Gogolewski, dyrektor Państwowego Teatru im. J. Osterwy, poparł starania p. W.S. Grzyba, kierując odpowiednie pismo do Komisji Wychowania, Oświaty i Kultury MRN w Lublinie. „W uzasadnieniu podajemy — pisze I. Gogolewski — że M. Ćwiklińska związana była z naszym miastem faktem swego urodzenia [...] a ponadto jej ojciec w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia prowadził w Lublinie grupę teatralną, działającą w budynku obecnego kina „Staromiejskie", co również należałoby podkreślić wmurowaniem tablicy pamiątkowej w foyer wspomnianego budynku".

Co na to prezydent Lublina inż. Longin Zieliński? A swoją drogą, gdy mowa o ulicach, warto by również w przyszłości pamiętać i o uczczeniu pamięci Marii Bechczyc-Rudnickiej...

21 VII. Na łamach tygodnika „Tu i teraz" interesująca rozmowa Aleksandra Minkowskiego z prof. Marianem Orzechowskim, sekretarzem KC PZPR. Cytuję fragment:

„A.M.: Jest u nas moda na etykiety. Zwłaszcza na przyklejanie ich ludziom, znanym, politykom. Ostatnio karierę robią dwie: „twardogłowy" i „liberał"...

M.O.: Chcesz powiedzieć, że i ja zostałem „zaszczycony"?

A.M.: Owszem. Zabawne, bo różni różnie ci przyklejają — raz jesteś „liberał", raz „twardogłowy".

M.O.: W tym szaleństwie jest metoda i to wcale wyrachowana. Chodzi o podzielenie nas, komunistów, o skłócenie ze sobą, zwłaszcza w kręgach kierowniczych. Skłócony sztab jest niezdolny do działań, a bez sztabu żadna armia nie wygra bitwy. Komunistów łączy identyczny cel. Co nie oznacza, że identycznie rozumują, że mają tożsame poglądy na drogę do celu i środki, których użyć należy, by go osiągnąć. Doktryner, na przykład, uważa, że do celu zmierzać trzeba na przebój, nie licząc się z warunkami. Kto inny — nazwijmy go apostołem — wierzy, że dobrym słowem można zmienić świat w raj, a przeciwników w owieczki. Są wreszcie tacy, którzy twierdzą, że walka klasowa to twarde prawo: przeciwnik polityczny bez walki się nie poddaje a każdą słabość wykorzysta natychmiast; że trzeba o tym nieustannie pamiętać wytyczając drogi w jutro i zarazem brać pod uwagę warunki, możliwości.

A.M.: Do której kategorii zaliczasz siebie?

M.O.: Myślę, że do tej ostatniej. Nie godzę się natomiast z podziałem na „twardogłowych" i „liberałów" — jest to nomenklatura przewrotna, gra na emocjach, sugerowanie, że w twierdzy panuje zaraza, a chory sztab nie wyprowadzi kraju na prostą. Cel ostateczny wytycza ideologia. Wybór dróg do tego celu jest domeną polityki; może się zdarzyć, że różnice spojrzeń na metody blokują wszelkie działanie i wtedy następują zmiany w kierownictwie. Jest to proces naturalny.

A.M.: Ludzie się jednak różnią. Nawet w kierownictwie.

M.O.: Wyobrażasz sobie ministra spraw wewnętrznych, który byłby z natury barankiem i głosił słowo boże? Albo działacza, który pracuje z młodzieżą metodami policyjnymi? Nieszczęście zaczyna się wtedy, gdy jest się barankiem tam, gdzie trzeba okazać rewolucyjną twardość, a doktrynerem w sytuacjach wymagających delikatności, taktu."

22 VII. 38 rocznica Odrodzenia... Na łamach „Rzeczypospolitej" autorzy lubelscy — Ireneusz Caban i Zygmunt Mańkowski. Pierwszy pisze o walkach o Lublin (kiedyś na ten temat zabierał już głos w „Kamenie"), drugi zaś snuje refleksje związane z Manifestem Lipcowym, stwierdzając m.in.: „Dziś z perspektywy dziejowej warto skonstatować, że był to program minimalny i niezwykle ostrożny. W istocie zapowiadał on dokonanie przemian wyraźnie o charakterze raczej ludowo-demokratycznym (czy nawet burżuazyjno-demokratycznym) niż socjalistycznym. Jeśli jednak przywiązuje się do niego tak wielką wagę (a stwierdza się to niemal corocznie w najbardziej oficjalnych enuncjacjach) to dlatego, że był to w ogóle pierwszy akt nowej władzy i to władzy o wyraźnie socjalistycznym charakterze. Rzecz bowiem istotna, że za nim poszły dalsze akty o niezwykle doniosłym znaczeniu, składające się na cały kompleks poczynań świadczących w istocie o charakterze już rewolucji socjalistycznej (rosnąca rola partii komunistycznej, reforma rolna, nacjonalizacja przemysłu, zjednoczenie ruchu robotniczego, rola rad narodowych, system partyjny itp.), wciąż jednak przy poszanowaniu polskich determinant, symboli i instytucji".

W tymże samym numerze relacja Janusza Sapy z Chełma pt. „Na pierwszym skrawku wolnej ziemi" a w niej m.in. rozmowa z Jackiem Zajączkowskim, który drukował Manifest PKWN. Jacka znam od dzieciństwa, kilka lat temu pytałem go, ilu już udzielił wywiadów na ten temat. Nie mógł się doliczyć...

38 rocznicę Odrodzenia poprzedziła doniosła debata sejmowa, którą otworzyło wystąpienie gen. armii Wojciecha Jaruzelskiego.

„Stan wojenny — oświadczył m.in. mówca — nie był i nie jest celem. Był i jest środkiem. Wprowadzenie go 13 grudnia służyło ocaleniu. Dziś osłania tworzenie przesłanek odrodzenia.

W ciągu minionych siedmiu miesięcy przelano na świecie morze ludzkiej krwi. Zginęły tysiące ludzi — bez stanu wojennego. U nas wprowadzony on został właśnie po to, aby Polska nie spłynęła krwią. Nie był atakiem, był obroną.

Prawa stanu wojennego nie zostały przez władzę nadużyte. Dążymy i dążyć będziemy do tego, aby stosowane były w sposób możliwie najbardziej oszczędny, zgodny z polską mentalnością, z socjalistyczną kulturą polityczną.

[...] Przeciwnik nie zrezygnował z kontrrewolucyjnych zamiarów. Uprawia jątrzącą propagandę. Stosuje środowiskowe naciski. Inspiruje zajścia uliczne. Grozi powszechnym strajkiem. Korzysta przy tym ze wsparcia określonych kół Zachodu stosujących wobec Polski bezprzykładne sankcje.

Dlatego też utrzymanie stanu wojennego jest jeszcze tymczasowo konieczne.

Odpowiedzialność za kraj nakazuje wystrzegać się kroków pośpiesznych, pochopnych. Mogłyby skończyć się dla Polski tragicznie.

Jednakże Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego — po dokonaniu oceny aktualnej sytuacji i zarysowujących się w jej rozwoju różnorodnych tendencji, dostrzega realne przesłanki do dalszego łagodzenia rygorów stanu wojennego. W dniu wczorajszym upoważniła ona ministra Spraw Wewnętrznych do podjęcia stosownych decyzji.

Zwolnionych zostanie większość internowanych, w tym wszystkie internowane kobiety.

Zostaną wprowadzone dalsze ułatwienia w obrocie pocztowym i telekomunikacyjnym na obszarze kraju oraz z zagranicą. Wojewodowie upoważnieni zostali, aby uchylić zawieszenie znaczącej grupy stowarzyszeń. Rozluźnione będą ograniczenia w wyjazdach za granicę.

Jednocześnie pragnę poinformować Wysoką Izbę, iż jeśli występować będą korzystnie utrwalające się zmiany, bez nawrotów napięć, jeśli świadczyć będą jednoznacznie o uspokajaniu się i normalizowaniu sytuacji wewnętrznej w kraju, to wówczas Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego wystąpi do naczelnych organów władzy państwowej o zawieszenie stanu wojennego.

Równocześnie konieczne będzie zabezpieczenie interesu państwa i narodu w drodze czasowego przekazania Radzie Ministrów szczególnych uprawnień.

Intencją Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego jest, aby warunki umożliwiające zawieszenie stanu wojennego mogły okazać się dojrzałe jeszcze przed końcem bieżącego roku."

Drugie wystąpienie, które wywołało zrozumiałe zainteresowanie, miał wicepremier Mieczysław F. Rakowski. „Trybuna Ludu" zatytułowała je: „Ranga związków zawodowych, ich prawo do współdecydowania musi wiązać się ze współodpowiedzialnością za rozwój kraju".

Wicepremier Rakowski stwierdził m.in., że w rozważaniach o przyszłym modelu ruchu związkowego pojawiły się dwie przeciwstawne sobie propozycje. „Pierwsza postulowała przywrócenie struktury związkowej sprzed 13 grudnia bez jakichkolwiek zmian, czyli domagała się odtworzenia sytuacji, której kres położyło zastosowanie środków nadzwyczajnych. Druga, uznając „Solidarność" za organizację opanowaną przez siły wrogie socjalizmowi, postulowała jej delegalizację.

Pomiędzy tymi dwoma skrajnymi wnioskami pojawiły się inne propozycje. Oto one. Pierwsza postuluje przywrócenie modelu ruchu związkowego sprzed 13 grudnia po dokonaniu istotnych zmian w statucie NSZZ „Solidarność". Zmiany te, stwierdzają jej zwolennicy, powinny doprowadzić do powstania robotniczej „Solidarości" uwolnionej od elementów antysocjalistycznych i kontrrewolucyjnych.

Druga domaga się przesunięcia terminu reaktywowania ruchu związkowego na drugą połowę lat osiemdziesiątych. Jej zwolennicy wychodzą z założenia, że wyjście z kryzysu ekonomicznego wymagać będzie co najmniej trzech lat i że w okresie tym jakiekolwiek działania utrudniające ustanowienie stabilnego pokoju społecznego są niewskazane. Jeśli nawet, stwierdzają oni, odrodzony ruch związkowy oprze się na zasadach ujętych w Konstytucji Polski Ludowej, to i tak trudne warunki bytowania oraz ambicja zespołów przywódczych będą rodziły akcje obronne i rewindykacyjne.

I wreszcie trzecia propozycja. Należy, stwierdzają jej autorzy, potraktować ruch związkowy jaki wyłonił się z lipcowo - sierpniowych strajków 1980 roku jako zamknięty rozdział w historii Polski Ludowej i przejść do tworzenia całkowicie nowej struktury przyjmując w pierwszym etapie za jego bazę wielkie zakłady pracy. Zwolennicy tej propozycji opierają się na następujących przesłankach myślowych: brak jednomyślności w kwestii przyszłej struktury związkowej jest wciąż jeszcze faktem, z którym należy się liczyć. Stosunek członków „Solidarności", związków branżowych i autonomicznych do swych struktur jest nazbyt często emocjonalny. Jakiekolwiek połowiczne rozwiązania nie zadowolą nikogo. Trzeba zatem oczyścić przedpole, na nowo rozpocząć marsz ku modelowi ruchu związkowego, który odpowiadać będzie interesom ludzi pracy i państwa socjalistycznego..."

W konkluzji wicepremier Rakowski oświadczył, że w uzgodnieniu z prezesem Rady Ministrów i przewodniczącym Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego Komitet Rady Ministrów do spraw Związków Zawodowych zwrócił się do Rady Państwa, z której inicjatywy powstał projekt nowej ustawy związkowej, z sugestią powołania społecznej komisji koordynacyjnej, która zajęłaby się przygotowaniem warunków do odrodzenia ruchu związkowego.

Wychodząc jednak z założenia, że polski świat pracy nie może pozostawać zbyt długo bez swej zawodowej reprezentacji, że dokonująca się rewolucja w systemie zarządzania i kierowania gospodarką narodową może przynieść oczekiwane skutki pod warunkiem bezpośredniego i aktywnego w niej udziału wytwórców, Komitet Społeczno - Polityczny Rady Ministrów stoi na stanowisku, że proces samorządu pracowniczego musi ulec wyraźnemu przyśpieszeniu. „Stanowczo — podkreślił wicepremier Rakowski — będziemy przeciwstawiać się tym przedstawicielom administracji gospodarczej, którzy chcieliby sprawować władzę, w sposób dla siebie komfortowy, bez jakichkolwiek ciał przedstawicielskich, wyłanianych przez tych, którymi kierują".

Posiedzenie Sejmu poprzedziło IX Plenum KC PZPR poświęcone w całości sprawom młodzieży. Jest to temat sam w sobie.

W tym miejscu chciałbym jeszcze powrócić do cytowanego już fragmentu wystąpienia gen. W. Jaruzelskiego, w którym mówił on o tym, iż w ciągu minionych siedmiu miesięcy przelano na świecie morze ludzkiej krwi.

Na naszych oczach rozgrywa się kolejny akt tragedii palestyńskiej. Wojska izraelskie umacniają swe pozycje wokół zachodniego Bejrutu, uzupełniając sprzęt, amunicję, przygotowując się jak gdyby do ostatecznego ataku na dzielnice zajmowane przez bojowników palestyńskich. Grozę sytuacji potęguje wojna iracko - irańska, w której po obu stronach giną tysiące ludzi. Bliski Wschód to beczka prochu z płonącym lontem.

M. A. Jaworski

KRONIKA

● „Kontakt z ludźmi nie zastąpi innych form pracy, więzi partii ze społeczeństwem inaczej nawiązać się nie da. To będzie moja metoda pracy: poznawać problemy u źródła, od ludzi. Chciałbym, aby tak pracował KW, Urząd Wojewódzki i wszystkie wojewódzkie instytucje" — powiedział I sekretarz KW PZPR w Lublinie tow. Wiesław Skrzydło podczas lipcowego spotkania z pracownikami, działaczami partyjnymi i gospodarczymi KLZW i PRG, które odbyło się na terenie kopalni w Bogdance. W całym zagłębiu trwają intensywne roboty górnicze, w których uczestniczy 1400 osób, zjeżdżających codziennie pod ziemię.

● Doroczną nagrodę I stopnia ministra Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska otrzymał m. in. lubelski zespół z PKZ: Jadwiga Jamiołkowska (szefowa grupy), Jadwiga Czerepińska, Leokadia Grygiel i Jadwiga Pilarska — za studia, plany i projekty rewaloryzacji Starego Miasta (których racjonalność — dodajmy — sprawia kłopoty wykonawcom). Wśród laureatów nagród II i III stopnia także znajdują się lublinianie, pracownicy IKŚ ,UMCS, FSC, ZOCh.

● Jak wiadomo, od 1 lipca można kupić w Banku PKO samochody za dolary i złotówki (w pierwszym dniu sprzedaży około 100 klientów w Lublinie), więc chyba dlatego wyraźnie spadły obroty na giełdzie, a „malucha" oferuje się tam za 200—400 tys. zł, gdy przy końcu czerwca nowy fiat 126p poszedł za 150 tys. zł.

● Okrojony plan zakładał wybudowanie w Lublinie 1700 mieszkań w roku bieżącym. Tymczasem na półmetku tego okresu doliczono się 524 lokali, przekazanych do użytku. Budowlanym brakuje przede wszystkim materiałów wykończeniowych.

● 8 lipca minęło 100 lat od chwili urodzin Ignacego Dobrzyńskiego, który po raz pierwszy pokazał swoje świetne wycinanki w 1902 r. na warszawskiej wystawie Polskiej Sztuki Stosowanej. Później ten rolnik lubelski i okresowo robotnik cukrowni w Garbowie prezentował swoje prace w kilkunastu miastach europejskich oraz w Chinach, zdobywając też uznanie w Australii i Ameryce. Zmarł 22 lata temu.

● Mniej motocykli, więcej śmigłowców i części zamiennych, przekroczony plan produkcyjny półrocza mimo niepełnego zatrudnienia, wysoka wydajność pracy i akumulacja, pomyślna realizacja umów eksportowych do krajów socjalistycznych i kapitalistycznych — oto główne punkty bilansu gospodarczego świdnickiej WSK za pierwsze sześć miesięcy roku.

● „Targi, jarmarki ,odpusty" — pod takim tytułem otwarto w Muzeum Wsi Lubelskiej wystawę fotograficzną, urządzoną wspólnie przez PTTK i skansen. Ekspozycja dowodzi, że istnieją jeszcze w Polsce miejsca wręcz egzotyczne.

● III nagrodę ogólnopolskiego konkursu poetyckiego, ogłoszonego przez ZW ZSMP w Katowicach, otrzymał Henryk Makarski z Lublina — za wiersze z cyklu „Czarnobylski syndrom", który w kolejnym tomiku autora opublikuje Wydawnictwo Lubelskie.

● W pierwszych dwóch tygodniach lipca milicja lubelska dwukrotnie musiała użyć broni w pościgu za piratem drogowym i dwoma rabusiami, którzy nocą w centrum miasta niemal do naga obdarli pewnego montera, bijąc przy okazji dwóch mężczyzn, śpieszących napadniętemu na pomoc. Uciekając z łupem, zatrzymali się dopiero po milicyjnych strzałach ostrzegawczych (w powietrze).

● Tegoroczny konkurs OKFJN na „Mistrza gospodarności" wygrał Tomaszów Lubelski (w grupie miast od 5 do 15 tys. mieszkańców). Nasze gratulacje!

U literatów remisowo

Dokończenie ze str. 1

łych namiętności politycznych poszczególnych jednostek i grup politycznych, jeżeli zechcą one na zasadzie kompromisu współpracować w tego rodzaju związku twórczym. Związku, który by chciał i potrafił uczestniczyć w formułowaniu podstaw polityki kulturalnej i literackiej naszego państwa, który byłby dla tego państwa i dla naszej partii w państwie wiodącej, partnerem lojalnym i pełnowartościowym, którego członkowie potrafiliby w imię interesów państwowych ograniczać na terenie związku osobiste interesy i pasje polityczne na rzecz politycznego i ideowego, oczywiście kompromisowego, consensusu obywatelskiego".

Cytat przydługi, lecz niezbędny, chcę bowiem wykazać, że Koźniewski mylnie interpretuje (co jest wręcz niewiarygodne u pisarza od 35 lat tkwiącego w epicentrum sprawy) pryncypia polityki związkowej Iwaszkiewicza. Jeżeli Koźniewski nie chce, aby Iwaszkiewicz przewrócił się w grobie, to niech łaskawie rozważy, czy aby naczelnym imperatywem „polityki" związkowej Iwaszkiewicza nie było dobro ZLP i jego członków, a zatem dobro literatury polskiej, ba, kultury polskiej — czy nie ono rozstrzygało o jego pociągnięciach wewnątrz i zewnątrz ZLP.

Był lojalny — owszem, ale co to jest lojalność? Powściągał „wybujałe ambicje polityczne" ekstremistów z prawa i lewa — też owszem. Ale przede wszystkim bronił godności i suwerenności Związku, wysokiego statusu pisarza polskiego, na co sam Koźniewski z głębi swojej imponującej autopsji mógłby wykrzesać dziesiątki przykładów. W wyniku takiej złożonej strategii mieliśmy szereg posunięć Iwaszkiewicza nie zawsze zrozumiałych i nie zawsze akceptowanych przez wielu pisarzy-„centrystów". Pamiętamy: gdy zmarł, w pisemkach i broszurkach niewiadomego pochodzenia i autorstwa oskarżano go wręcz o kolaborację, o przymilne bywanie „na pokojach" u Gierka, o przymykanie oczu na wszystko, co mogłoby zagrozić jego osobistej egzystencji i pozycji.

Lecz „model" iwaszkiewiczowski był, moim zdaniem, modelem realiów i świadomości obowiązku związkowego istnienia, bez względu na takie czy inne okoliczności i wstrząsy Iwaszkiewicz pryncypialnie wkraczał, gdy trzeba było oburzyć się na okrojenie programu literatury polskiej w podręcznikach, gdy należało zabiegać o uszanowanie starego nazewnictwa na kresach lub bronić pisarzy podskubywanych za przekonania lub za podpisy kładzione tu czy tam itd., itp. Nie sposób pominąć w tym miejscu tak klarownego przykładu, jakim były skutki wystąpienia A. Brauna na katowickim zjeździe ZLP. Gdy w czasach „Solidarności" publiczne mówienie o drażliwych faktach z historii stosunków Polski i ZSRR było na porządku dziennym, to w okresie katowickiego zjazdu ZLP, w okresie samozachwytu i dławiącej ciszy politycznej wypowiedź Brauna dotycząca tych spraw spadła jak piorun z jasnego nieba. W przerwie obrad, w gronie kilku pisarzy, Iwaszkiewicz dał wyraz zdecydowanej dezaprobaty dla tego rodzaju fajerwerków. I oto, kilka godzin później, na uroczystym przyjęciu u wojewody, gdy ten, przemawiając do zaproszonych literatów, zaczął gromić „niektórych" z nich za „nieodpowiedzialne" wystąpienia, Iwaszkiewicz z wyniosłym oburzeniem powiedział, że przed chwilą ubliżono tu godności pisarza i jego prawu do wypowiadania własnych sądów na związkowym forum. Oto cały Iwaszkiewicz i miniatura jego „modelu".

Nie incydenty wszakże zadecydowały o tym, iż okres Iwaszkiewiczowskiego prezesowania może teraz pretendować do miana modelu. **Rozstrzygająca stała się tu osiągnięta i utrzymywana przez lata osobliwa równowaga sił politycznych i personalnych w Związku i za podobną równowagą sił osobiście opowiadam się nawet teraz, po wszystkich szokach i wstrząsach, jakie przeżył Związek i jego okolice. A opowiadam się za taką równowagą jako jedynie bezpiecznym modelem trwania dlatego, iż będąc przez dwie kadencje członkiem plenum ZG ZLP, miałem możność wielokrotnie stwierdzać, że ilekroć dochodziło do przesilenia w osobliwej równowadze sił wewnątrz związku, a zwłaszcza jego władz, to natychmiast dochodziło do niebezpiecznych przechyłów i tak już z natury swojej niestabilnej nawy literackiej.**

Tamtą Iwaszkiewiczowską stabilność Koźniewski wywodzi z lojalności, z podporządkowania się wyższym racjom, z partnerstwa, z powściągania „namiętności politycznej jednostek i grup". To wszystko może i prawda: o partnerstwie, o współudziale itd. marzy każdy pisarz i nie trzeba go w tym celu brać na przeszkolenie.

Tylko że Koźniewski nie podaje, skąd się ma wziąć ten umiar, powściągliwość, partnerstwo, otwarcie. Myślę, że nie może się brać tylko z ewangelicznej uległości ludzi roznamiętnionych politycznie, z siły perswazji kolegów czy emisariuszy. Musielibyśmy wówczas założyć, że możliwe jest polityczne duszpasterstwo wśród takich owieczek jak — sięgając po obydwie strony barykady — Koźniewski i Bartoszewski, Wasilewski i Nowakowski, Putrament i Hertz, Sokorski i Ważyk, Przymanowski i Malachowski etc., etc.

Sięgając do modnej nomenklatury rozbrojeniowej, posłużę się tutaj pojęciem „równowagi strachu", biorącej się, w tamtej dziedzinie, z równowagi arsenałów; posłużę po to, aby udowodnić, co oznaczało, za każdym razem, naruszenie tej równowagi na obszarze literatury.

Pierwsze takie zachwianie, biorąc pod uwagę tylko dystans ostatniej dekady, miało miejsce w latach gdzieś od 1973 do 1976. Na zewnątrz był to okres promiennej propagandy sukcesu, a w środowisku literackim — dość wyraźnej dominacji grupy partyjnych pisarzy. Jaki był rezultat? Rozpoczął się zalew literatury „drugiego obiegu", pism, pisemek, broszur, a także listów zbiorowych itp. manifestacji. To pulsowała rzeczywistość nie tylko literacka, to jasne, ale i pozaliteracka, ale tak czy owak gwałtownie krzepła w Związku orientacja dysydencka. Listy, protestacje, bogaty zestaw tytułów podziemnych — to były gesty dla publiczności. Wewnątrz Związku trwała ostra przepychanka do władz organizacji pisarzy oraz wzajemne utrącanie sobie kandydatów do Związku. Były to dwie najważniejsze, lecz nie jedyne płaszczyzny zmagań. Przepychanki do władzy odbywały się, z konieczności, tylko raz na trzy lata, w rytmie zjazdów ZLP i wyborów jego władz, natomiast utrącanie kandydatów do ZLP, preferowanych przez poszczególne orientacje, a mających określone poglądy i stwarzających przez to określone nadzieje „siłowe" — odbywało się co kilka miesięcy, na każdym posiedzeniu plenarnym.

Z dziesiątków przykładów wybiorę dwa, najbardziej reprezentatywne.

Oto „opozycja" wnosi do komisji kwalifikacyjnej kandydaturę J. Bierezina, choć nie spełniał statutowych warunków przyjęcia, ale byłby „opozycji", jako członek ZLP, bardzo przydatny. W odstępie kilku miesięcy kandydatura Bierezina, w wyniku raczej zgodnego stanowiska drugiej strony — zdecydowanie spada. Owa strona prowadzi więc 1:0, choć, jak powiadam, podobnych przykładów było wiele.

Wtedy Ryszard Wojna, autor jednej książki „Rozmowy z ojcem" (brak podstaw do przyjęcia, bo inne pozycje publicystyczne) umyślił sobie, że dobrze byłoby należeć również do ZLP. Czemu nie, odpowiedziano przymilnie tu i tam. No i zaczęło się. Ponad godzinę trwała wrzawa na plenum ZG wokół tej kandydatury. Burzliwie dyskutowano nad tym, jak zakwalifikować wstrzymujących się od głosu (około 30 proc.) i czy głosować tajnie lub jawnie. Wiadomo było, że w głosowaniu tajnym Wojna raczej nie przejdzie, przeforsowano więc jawne, mimo protestów i przypominania, że jeżeli choć jedna osoba żąda głosowania tajnego, trzeba tak właśnie uczynić.

Koniec końców, Ryszard Wojna przeszedł. Było 2:0. Ta, jak szereg innych porażek tak rozwścieczyły dysydentów (doskonałe słowo do ukrycia podtekstów nie tyle politycznych, co pochodzeniowych), że eksplozja Sierpnia przyniosła druzgocącą porażkę grupie partyjnych pisarzy, zresztą porażkę nie mniejszą, niż w innych związkach twórczych, zakładach pracy itp. To Waterloo miało miejsce na ostatnim nadzwyczajnym zjeździe ZLP w Warszawie. Był to istny cyrk: nie przebieram w słowach w tym samym stopniu, w jakim dysydenci nie przebierali w chwytach, w koszeniu przeciwników. Oddali im wtedy gruntownie i z nawiązką, za wszystkie wstręty i porażki. Partyjni pisarze, poza zaledwie dwoma czy trzema, nie znaleźli się w 35-osobowym plenum. Brutalnie przeforsowano poprawkę do statutu, mówiącą o tym, że prezesi terenowych oddziałów ZLP (wiadomo, manipulowani przez partię) tracą prawo czynnego głosowania na zebraniach plenarnych ZG, praktycznie zatem przestają być jego członkami. Pełnia władzy: w prezydium i plenum sami swoi, teren spacyfikowany i ubezwłasnowolniony, a na wierzchu prezes Szczepański, postać przepiękna, przeczysta, polska, ale postać raczej nie na tę funkcję i nie na ten czas! Tu potrzebny był stop Machiavellego, Al Capone, Kisingera i Putramenta! Niestety, nie ma takiego na liście członków ZLP.

Oczywiście, na tym zjeździe ponownie zaproponowano i przyjęto do ZLP już bez kłopotów, kandydaturę Jacka Bierezina.

Zbierzmy teraz aktywa i pasywa tego pobieżnego spaceru przez dekadę. Kto prowadzi? Nikt. Jaki jest stan meczu? Remis. Jakie nauki? Bogate: kto mieczem wojuje... Dlatego tak mocno gardłuję na równowagę strachu. Jeżeli nie jest możliwe do osiągnięcia wzruszające: kochajmy się, to przynajmniej — szanujmy się, przyjmujmy do wiadomości istnienie stron, i — do roboty. Do pisania. W imię pisania. Bo szuflady są raczej puste, tego uczą wszystkie nasze zakręty. Nawet po wojnie szuflady pisarzy okazały się puste. Po 1956 roku — to samo. Po Grudniu 70 — jak wyżej. Po Sierpniu — także, choć tu jeszcze za wcześnie na pełnię.

Koźniewski rzuca beznadziejne pytanie: „Czy Związek Literatów Polskich jest nam potrzebny?" Nasuwają się pewne nieuchronne paralele za środowiskiem dziennikarzy. Możliwe, że są to paralele kuszące, ale obustronnie niebezpieczne. Jakże niebezpieczne w świetle kanonu równowagi sił, remisu strachu.

W dzieciństwie matka czasem zostawiała mnie z gotującym się rosołem, przykazując pod groźbą razów, że ma się gotować tylko-tylko, aby aby, bo jak się gwałtownie zakotłuje, to połowa wyparuje, a reszta będzie mętna. Gorąco tę gorącą przestrogę dedykuję Koledze Koźniewskiemu oraz wszystkim pozostałym, byłym kolegom z sali numer 321, Nowy Świat, Warszawa, Polska.

Henryk Pająk

P.S. „W ostatniej chwili przeczytałem wypowiedź J. Przymanowskiego w Trybunie Ludu. Do modelu iwaszkiewiczowskiego Kol. Przymanowski także się przyznaje, ale z dodatkiem szpicruty i marchewki; z wyrzuceniem z ZLP tłumaczy i zsyłaniem niewydajnych pisarzy do domów starców! Jako żywo, przez całą minioną dekadę Kol. Przymanowski nie zdradzał swojego sadyzmu ani publicznie, ani na naradach w Jadwisinie!

H. P.

Rys. Zygmunt St. Pytlik

Rys. Zygmunt St. Pytlik

Rozmowa z profesorem Bobrowskim (2)

MICHAŁ ZIELIŃSKI. — Doszliśmy w naszej rozmowie do wojny.

CZESŁAW BOBROWSKI: — Nie byłem zmobilizowany. 17 września wraz z kilkoma towarzyszami zawróciliśmy z granicy rumuńskiej z zamiarem powrotu do Warszawy. W Kołomyi trafiliśmy na batalion, którego dowódca miał zamiar wykonać drugie Termopile. Wkrótce leonidasowy zapał dowódcy opadł, a może zawieruszył się gdzieś z innych przyczyn, i wtedy oddział nasz pomaszerował... do Rumunii. Udało mi się dzięki cywilnemu ubraniu, którego się nie pozbyłem, uniknąć internowania i po kilku miesiącach, typowym szlakiem przedostać do Francji. Zgłosiłem się do podchorążówki, gdzie mnie nie przyjęto. Wprawdzie — zdaje się — ani oni (ani tym bardziej ja) nie wiedzieli, czy uznać mnie za piłsudczyka, czy za komunistę. W każdym razie byłem politycznie podejrzany. Na front poszedłem jako żołnierz 4 pułku strzelców pieszych z 2 DSP. Mimo podejrzeń politycznych jednak awansowałem i służbę wojskową zakończyłem w stopniu kaprala.

M. Z.: — A co wydarzyło się po kapitulacji Francji? Druga dywizja, o ile wiem, była internowana w Szwajcarii?

Cz. B.: — W Szwajcarii nie pobyłem długo. W każdym obozie — nawet w Szwajcarii — przez pierwsze trzy dni jest bałagan. Skorzystałem z okazji i postanowiłem uciekać do Francji. Ucieczka udała się doskonale, bo uciekałem w drugą stronę.

M. Z.: — ???

Cz. B.: — Po prostu zdobyłem cywilne ubranie i przy próbie przejścia „na zielono" do Francji zostałem złapany przez patrol. Twierdziłem, że z obawy przed Niemcami uciekam z Francji do Szwajcarii. Ponieważ — jak wiadomo — Szwajcarzy są ogromnymi legalistami, po kilku dniach aresztu wydalono mnie ze Szwajcarii odprowadzając do francuskiej granicy. We Francji włączyłem się w działalność opiekuńczą nad uchodźcami, a potem również i konspiracyjną. Z obu tych tytułów zajmowałem się obozami pracy, obozami deportacyjnymi Żydów et cetera. Dopiero w 1943 roku, gdy gestapo mocno zaczęło deptać mi po piętach, tak że jednego razu trzykrotnie bliski byłem aresztowania, przerzucono mnie do Anglii. Przez Pireneje (ciężka przeprawa w śniegu), Hiszpanię, Portugalię dotarłem do Gibraltaru. Potem było już łatwo. W Anglii minister Kwapiński zaproponował mi dowolną funkcję w ministerstwie przemysłu. Zajmowano się tam m.in. tworzeniem planu dziesięcioletniego, co uznałem za czystą poezję planistyczną, bo nie znano granic kraju ani zniszczeń majątku narodowego czy strat ludzkich, ani powojennych warunków gospodarki światowej. Natomiast nikt nie pracował nad sprawą decyzji, które w każdym wypadku trzeba będzie podejmować po wyzwoleniu Zająłem się tym problemem w ramach specjalnie powołanej komisji „programu sześciu miesięcy". Pracy nad tym programem nie uważam za zmarnowaną, przydała się zresztą przy budowie planu trzyletniego. O ile jednak bardzo mile wspominam lata francuskie, gdyż była to działalność bardzo czysta moralnie i potrzebna, to z pobytu w Anglii mam mieszane odczucia. Źle się czułem w atmosferze „małej polityczki", rywalizacji o stołki, znacznego sfrustrowania ludzi. Zresztą po kilku miesiącach naszej pracy okazało się, że nie ten rząd decydować będzie o pierwszych sześciu miesiącach. A ponieważ był to moment, w którym wyzwolona została już Francja, poprosiłem o przeniesienie na kontynent, gdzie dalej zajmowałem się zagadnieniami pomocy socjalnej dla ludności polskiej wracającej z obozów, ujawniającej się z konspiracji czy powracającej z krajów neutralnych.

M. Z.: — I dosyć wcześnie zdecydował się pan na powrót do kraju.

Cz. B.: — Nie obyło się bez dużych wahań Ale ponownie powiedziałem sobie wtedy, że dopiero drugie pokolenie będzie mogło ocenić, co z tego wyniknie. Nie bez znaczenia było też takie rozumowanie: „Skoro mogłem, jako „aparatczyk", współpracować z władzą w drugiej fazie sanacji, to mogę pracować i z komunistami". Nie liczyłem zresztą na łatwe życie w Polsce, bo w końcu miałem za sobą przedwojenną przeszłość dyrektora departamentu.

M. Z.: — Ale w kraju został pan prezesem Centralnego Urzędu Planowania — numerem 2 gospodarki PRL.

Cz. B.: — Myślę, że zawdzięczam to różnym koneksjom przedwojennym. Nie obyło się zresztą bez małego qui quo pro. Z dużym trudem dostałem się do samolotu, bo nasze ambasady we Francji i Londynie nic o mnie nie wiedziały, podczas gdy w kraju okazało się, że Rząd Tymczasowy poszukiwał mnie po całym świecie, trzymając dla mnie stanowisko szefa urzędu planowania.

M. Z.: — Był pan bezpartyjnym członkiem najwyższych władz państwowych?

Cz. B.: — Nie. Przed wojną wprawdzie nie należałem do żadnej partii politycznej. W czasie wojny, podczas pobytu w Londynie, zbliżyłem się jednak do tamtejszego lewego skrzydła PPS, tych działaczy pepesowskich, którzy jak Stańczyk Hochfeld czy Grosfeld, wrócili do kraju. W Warszawie wstąpiłem do PPS, a po kongresie Zjednoczeniowym, na którym zresztą nie byłem, „inkorporacyjnie" wszedłem do PZPR.

M. Z.: — Działalność w CUP-ie jest stosunkowo dobrze znanym fragmentem pańskiego życiorysu. Udzielił pan przed dwoma laty na ten temat wywiadu „Polityce", opublikował wspomnienia z tego okresu w „Kwartalniku Historycznym" (nr 3/1979), rozmawiał pan także o tym z M. Wierzyńskim w telewizji. Może zatem przejdziemy do tego, co było po CUP-ie?

Cz. B.: — Trochę żałuję, że wspomnienia te opublikowałem tak wcześnie. Zostały one pocięte przez cenzurę. Wówczas zadowolony byłem, że dzięki nieugiętej postawie red. prof. Jędruszczaka, w ogóle cokolwiek się ukazało. Dzisiaj żal mi opuszczonych fragmentów. Co do moich losów po wymuszonej dymisji z funkcji prezesa CUP, to zapewniono mi, mówiąc dzisiejszym językiem, tzw. „miękkie lądowanie". Zostałem posłem w Szwecji i byłem nim od maja 1948 do listopada 1949 r. W listopadzie tegoż roku, gdy już nastąpił proces Rajka, Kostowa, aresztowanie Gomułki, postanowiłem podać się do dymisji. Odesłałem legitymację partyjną i zakomunikowałem, że postanowiłem wyemigrować do Francji.

M. Z. — Rozumiem, że to był ten moment, w którym nie można było już pójść na kompromis. Jak rezygnacja została przyjęta? I czy odbyło się to bez przeszkód?

Cz. B.: — W zasadzie tak. Moja rezygnacja została przyjęta z dużą elegancją. Poproszono mnie, abym obowiązki posła pełnił jeszcze przez sześć tygodni, do czasu złożenia listów odwoławczych. Potem wyjechałem do Francji. Nie oznacza to , że w ciągu tych sześciu tygodni obyło się bez niewygodnych sytuacji. Skądinąd rezygnując z wszystkich funkcji i odsyłając papiery, zapomniałem zrobić to samo z mandatem poselskim, którego — przez roztargnienie chyba — nie odebrano mi przez dwa lata. Mimo, iż nie posiadałem paszportu, de nomine byłem posłem na Sejm RP. Mogę przypuszczać, że tak poprawne postępowanie w stosunku do mojej osoby znowuż zawdzięczam m.in. Bierutowi, ale nie tylko.

M. Z.: — A jak wyglądał pobyt na emigracji?

Cz. B.: — Startowałem od zera. Najpierw byłem bezrobotnym, potem ankieterem. Następnie udało mi się uzyskać stypendium od CNRS (francuskiego odpowiednika naszej akademii nauk), która podpisała ze mną kolejne umowy na trzy książki. Wtedy powstały: „Socjalistyczna Jugosławia", „U źródeł planowania socjalistycznego" i książka o kolektywizacji w krajach socjalistycznych, nie tłumaczona na polski i zresztą najsłabsza. Pobyt we Francji był to przyjemny okres o tyle, że po raz pierwszy i jedyny w życiu mogłem zajmować się tylko nauką.

M. Z.: — A więc te książki powstały już wtedy, ale praca o planowaniu radzieckim ukazała się w Polsce przecież dopiero w 1967 r.

Cz. B.: — Dosyć długo nie była strawna ze względu na ostre elementy krytyczne. Dopiero po dziesięciu latach, gdy już wiele krytyk zostało napisanych gdzie indziej, mogła się ukazać. W wydrukowaniu książki pomogła 50 rocznica rewolucji, zwłaszcza, że wydawnictwa nie miały wiele prac dających się podciągnąć pod hasło obchodów. Natomiast „Socjalistyczna Jugosławia" ukazała się wcześniej.

M. Z.: — W 1957 r.

Cz. B.: — Oficjalne wydanie tak, ale istniało też wcześniejsze; gdy wróciłem do Polski w 1956 r, książkę już przetłumaczono, wydano w nakładzie 200 egzemplarzy i rozprowadzono przez KC. Tak więc przełom myślowy rozpoczynał się już przed październikiem.

M. Z.: —A potem była wielka szansa polskiej gospodarki: Rada Ekonomiczna przy Radzie Ministrów, której został pan urzędującym wiceprzewodniczącym.

Cz. B.: — To rzeczywiście był autentyczny trust mózgów. Z tym, iż nie bardzo nas słuchano. Rada funkcjonowała przez trzy dwuletnie kadencje, po każdej z nich następował ponowny wybór członków. Kadencje odpowiadały okresom działalności. W pierwszej jeszcze mieliśmy coś do powiedzenia. Skończyła się ona znanym oświadczeniem Cyrankiewicza, który powiedział, że władze ani nie przyjęły, ani nie odrzuciły naszych tez. W okresie drugim było to istnienie cherlawe, spełnialiśmy jedynie doraźnie i odcinkowo jakąś rolę. Już wtedy chcieliśmy rozwiązać Radę, ale zwyciężył pogląd, że może „coś" się zmieni, a wówczas istnienie takiego organu może od razu być potrzebne. Kadencja trzecia to już zupełna fikcja.

M. Z.: — Pracował pan w tym czasie również na Uniwersytecie Warszawskim i rozstał się z nimi w sposób nietypowy — a może właśne typowy dla tego roku — w marcu 1968 r.

Cz. B.: — Mile wspominam Uniwersytet. W Katedrze Planowania zgromadził się wtedy dobry zespół ludzi. Między innymi pracowali w nim znani dzisiaj: prof. Baka i prof. Pajestka. Formalnie — i na przekór moim zamiarom — byłem pracownikiem UW do 1975 r., ale o wykładaniu nie było mowy.

M. Z.: — A jak ocenia pan przyczyny marca' 68? Istnieją różne koncepcje. Niektórzy twierdzą, że była to świadomie przygotowana prowokacja, inni że świadomie przygotowana rewolucja.

Cz. B.: — Moim zdaniem, ani jedno, ani drugie. Oczywiście, że po latach tzw. „komandosi" skłonni są sobie przypisać całą zasługę organizacji wydarzeń marcowych, tak jak inni przypisują im całą winę, ale ich rola była tylko rolą zapalnika. Byłem wówczas dziekanem wydziału nauk ekonomicznych; w mojej ocenie i ówczesnej ocenie praktycznie wszystkich — studenci byli całkowicie zobojętniali i indeferentni politycznie. Ich postawa ostatecznie wszystkich nas zaskoczyła. Nie była to również prowokacja, bo nie wyobrażam sobie, by ewentualni sprawcy potrafili ją dostatecznie sprawnie przygotować. Mieliśmy do czynienia po prostu z procesem narastania niezadowolenia społecznego, dodatkowo pobudzanym „praską wiosną"; a ponieważ ciśnienie społeczne było zbyt duże, musiało to w którymś momencie pęknąć. I po wydarzeniach musiałem podać się do dymisji. Nie bez kłopotów — chociaż nie były one zbyt wielkie — wyjechałem do Paryża. Potem byłem ekspertem ONZ, FAO czy UNESCO w krajach arabskich, przede wszystkim Algerii. Prowadziłem w tym czasie życie „luksusowego koczownika".

M. Z.: — Do Polski powrócił pan dopiero w 1974 r. Dlaczego tak późno?

Cz. B.: — Nie bardzo miałem do czego wracać, bo nie miałem ani pracy, ani emerytury, mimo że ukończyłem już dość dawno 65 lat. Nowa ekipa specjalnie mnie nie potrzebowała — czego nie mam jej za złe. A emerytury nie mogłem otrzymać ze względu na postawę ówczesnego rektora UW. Wyjechałem z Polski w wieku 64 lat. Po ukończeniu 65 lat okazało się, że nie mogę dostać emerytury, bo otrzymałem nie zwolnienie, lecz bezterminowy urlop bezpłatny, a więc mam nie rozwiązany stosunek pracy. Dopiero z końcem 1973 roku sprawa została rozwiązana zgodnie z prawem i mogłem wrócić do kraju, licząc na emeryturę.

M. Z.: — Ale nie był pan mile widziany?

Cz. B.: — Nie przejmowałem się tym zbytnio. Jedyną propozycją, jaką otrzymałem, był udział w Radzie Naukowej, co zaoferował mi Wrzaszczyk, a czego nie przyjąłem. Bariera publikacyjna wokół mojej osoby pękła w 1979 r., kiedy to zgłosili się do mnie panowie Fikus i Paszyński z „Polityki". Udzielony im wywiad ukazał się drukiem. Opublikowane zostały także — o czym już mówiliśmy — wspomnienia cupowskie w „Kwartalniku Historycznym".

M. Z.: — Czy uważa pan, że po prostu „czas kwarantanny" się skończył, czy też już w 1979 r., a więc przed VIII Zjazdem i odejściem Jaroszewicza, miała miejsce w Polsce „pierediszka"?

Cz. B.: — I jedno, i drugie. Dodatkowo był to rok 35 rocznicy PRL i potrzebne były historyczne akcenty. Zdaję sobie sprawę z tego, że występowałem trochę w roli „dinozaura". Ale pewna — jak pan to powiedział — „pierediszka" była. W tym momencie stało się już jasne, że nie da się wyjść z tej sytuacji bez strat społecznych.

*M. Z.: — Ale za to po Sierpniu stał się pan ponownie osobą społeczną i to jedną z popularniejszych. *)*

Cz. B.: — Studenci zwrócili się do mnie z prośbą powrotu na Uniwersytet. Podjąłem symbolicznie tę działalność. Zostałem też członkiem Komisji Reformy, razem z dawnymi działaczami gospodarczymi, takimi jak: Albrecht, Kole, Pszczółkowski, Gluck i Jędrychowski, którzy zaświadczają o łączności między Komisją Reformy a Radą Ekonomiczną sprzed 20 lat. To, co robię dzisiaj, jest zresztą chyba dobrze znane.

*M. Z.: — Czy nie czuje się pan zniechęcony? Ostatnio jakby pańska aktywność zmalała? **)*

Cz. B.: — Trochę tak, ale chyba przede wszystkim jestem zmęczony fizycznie. Przed wyjazdem na urlop uczestniczyłem w przygotowaniu poprawionej wersji Raportu o stanie gospodarki i Programu wyjścia z kryzysu oraz redagowaniu „Kierunków Reformy" i praca ta mnie mocno zmęczyła. Ale zna pan już moją tezę, że nie ma zjawisk jednoprzyczynowych.

M. Z.: — I ostatnie pytanie. Czytelnicy nie wybaczyliby mi, gdybym go nie zadał. Co będzie jutro?

Cz. B.: — Teoretycznie możliwe są — skrótowo mówiąc — trzy warianty. Przejście do gospodarki wojennej...

M. Z.: — Czyli to, co już praktycznie jest dzisiaj?

Cz B.: — To, co mamy, to dziecinna zabawka w porównaniu z prawdziwą gospodarką wojenną. Taka gospodarka to rozbudowany do maksimum system nakazów, a nawet przymusu. To także rezygnacja z większości celów na rzecz jednego, uznanego za główny.

M. Z.: — A inne możliwości?

Cz. B.: — Inna — równie zła — to hiperinflacja. Ściślej: pełne urynkowienie gospodarki, aby w sposób żywiołowy przejść od „inflacji barbarzyńskiej", jaką mamy, do inflacji „normalnej", tzn. z ustawiczną zwyż-

ką cen. W naszych warunkach byłyby to zwyżki bardzo wysokie i bardzo częste, tak wysokie i częste, że wywołałyby protest społeczny i spowodowały spiralę doganiania cen przez płace i wyprzedzania tych nowych płac przez dalsze zwyżki cen. Znam tylko jeden przypadek społeczeństwa, w którym nie było protestu społecznego przeciw inflacji — Izrael o przeszło 100% tempie inflacji.

M. Z.: — Czy znaczy to, że pan profesor uważa program doc. Kurowskiego za nierealny?

Cz. B.: — Programy doc. Kurowskiego są zawsze prezentowane w sposób atrakcyjny, co zapewnia im pewną popularność, gdyż obiecują wiele, a pomijają trudności i ofiary do poniesienia. Dlatego się z nimi nie zgadzam.

M. Z.: — Co wobec tego jest prawdopodobne?

Cz. B.: — Względnie prawdopodobny, a na pewno najbardziej pożądany, jest wariant stopniowego równoważenia rynku przez kontrolowane ruchy cenowe, poważną porcję posunięć antyinflacyjnych, stopniowe zwężanie reglamentacji, wykorzystanie możliwości tkwiących w reformie gospodarczej uzupełnionej czasowymi zabezpieczeniami. Inaczej mówiąc, stopniowe usuwanie elementów, które nazwał pan gospodarką wojenną, na rzecz mechanizmów ekonomicznych, wolnych lub sterowanych. Przy tem należy pamiętać o zagrożeniu bilansu płatniczego, które wisi nad nami bez przerwy, a może się zrealizować już w I kwartale roku 1982. Taka droga jest niełatwa, wymaga decyzji śmiałych a równocześnie subtelnych, no i oczywiście akceptacji społecznej.

M. Z.: — Czy wynika stąd, że „zgoda narodowa" jest naszą jedyną szansą?

Cz. B.: — Oczywiście. Jeśliby do tego nie doszło, to przyszłość sprowadzi się do alternatywy: gospodarka wojenna lub hiperinflacja.

• • •

Redakcja: — Panie profesorze, ta rozmowa miała miejsce jesienią ubiegłego roku. Dziś mamy oto stan wojenny, ale mamy też elementy gospodarki rynkowej i rzec można, iż pańskie prognozy spełniły się... częściowo. Pozwolimy sobie zadać jeszcze raz pytanie — co będzie jutro?

Cz. B.: — Prognozy na ogół spełniają się tylko częściowo. Jest rzeczą oczywistą, że nadzieja na „zgodę narodową" dotychczas się nie spełniła. Nie wyklucza to ewentualność, że uzyskany spokój zbliży nas jeśli nie do zgody, to przynajmniej do większego zrozumienia realiów i większego wzajemnego zrozumienia. Dzięki decyzjom powziętym częściowo jeszcze w czwartym kwartale, ale głównie po pierwszym stycznia, groźba hiper-inflacji, jak sądzę, znikła, choć nie oznacza to szybkiego i łatwego osiągnięcia pełnej równowagi. Stan wojenny nie oznacza bynajmniej gospodarki wojennej, natomiast istnieją czynniki popychające nas w tym kierunku. Mam na myśli przede wszystkim trudności zaopatrzeniowe związane głównie ze spadkiem importu z krajów zachodnich; a także — w mniejszej mierze — pojawiające się gdzieniegdzie mniemanie, że tym trudnościom zaradzić można przez zwiększanie zakresu działań administracyjnych. Niewątpliwie w pewnych zakresach jesteśmy i będziemy zmuszeni stosować ograniczenie procesów rynkowych przez reglamentację, ale nie wolno nam (i nie ma takiej potrzeby) dopuścić do żywiołowego rozszerzania się tych działań kosztem reformy systemowej. Nie spełniła się moja obawa, iż albo wejdziemy w hiperinflację, albo skończy się na gospodarce wojennej. Z tego oczywiście się cieszę, natomiast w złagodzonej formie konflikt między dwoma niebezpieczeństwami nie jest jeszcze w pełni zażegnany.

Jeśli moja prognoza czy obawa spełniła się, jak panowie mówią, „tylko częściowo", wynika to nie tylko z innego przebiegu procesów politycznych (np. nie przewidywałem „mniejszego zła" w postaci stanu wojennego), ale także z niedocenienia przeze mnie trudności, na jakie mieliśmy napotkać ze strony krajów zachodnich. Bez tych ostatnich sądziłbym dziś, że ani jedno, ani drugie niebezpieczeństwo nam już absolutnie nie grozi.

---

* Czy tak jest nadal? — przypisek późniejszy: Cz. B.

** To się zmieniło z powstaniem Konsultacyjnej Rady Gospodarczej — przypisek późniejszy: Cz. B.

Nie dajmy się zwariować albo szalejmy taniej

Dokończenie ze str. 1

Tymczasem rzeczywistość przeszła najśmielsze oczekiwania ,do udziału w imprezie (28 lutego) zgłosiło się niemal 70 artystów z różnych miast Polski, którzy zaoferowali około 200 prac, z czego sprzedano 50 — za ogólną kwotę 800 tys. złotych!

Zachęceni sukcesem, Kurkowski i Wolski urządzili (21-23 maja) kolejną aukcję. Również i ona przyniosła ładne rezultaty: 135 plastyków przedstawiło 354 grafiki, obrazy, medale, rzeźby w metalu i drewnie oraz tkaniny, a publiczność, która płaciła 100 zł za bilet wstępu na imprezę, zechciała wysupłać na proponowane dzieła ponad 620 tysięcy, jakby kpiąc z kryzysu. Obraz Tadeusza Brzozowskiego kupiono za 43 tys. zł, Jerzego Nowosielskiego (oferowany przez krytyka sztuki-właściciela płótna) — za 41,5 tys. zł, a szczęśliwy nabywca pracy Władysława Hasiora wydał na nią 26 tysięcy. Ze zrozumiałych względów największym powodzeniem cieszyły się grafiki, osiągające ceny do pięciu tysięcy. Autoryzowali je tacy wybitni czy znani artyści, jak Janusz Przybylski, Krzysztof Skórczewski, Ryszard Gieryszewski, Jan Nowak, Wiktor Zajkowski czy Tadeusz Michał Siara, którego liryczne akwaforty wzbudziły wielkie pożądanie wśród klienteli. Nie znalazł amatora niewielki, rozsądnie wyceniony obraz nestora naszej awangardy konstruktywistycznej, co może i dziwne, ale nie całkiem.

Powodzenie imprezy tak rozochociło animatorów, że myślą już o następnej, „gwiazdkowej" aukcji, starając się jednocześnie o koncesję na otwarcie własnej, prywatnej galerii sztuki w Kielcach.

Zapytać warto, czy w Klubie Środowisk Twórczych „U Sołtyków", kierowanym twardą dłonią przez Jerzego Marzeckiego, rzeczywiście byliśmy świadkami cudu, powiedzmy, polityczno-gospodarczego? Jak to się stało, że w imprezie kieleckiej wzięło udział ponad 100 plastyków, w tym kilka znakomitości sztuki polskiej, gdy tymczasem na Festiwal Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie, posiadający ładną i długą tradycję, zasobną pulę nagród pieniężnych oraz szacunek krajowego środowiska artystycznego, zgłosiło się w pierwszym terminie zaledwie kilku autorów?

Słyszałem opinie, że kielecka impreza udała się dlatego, ponieważ miała charakter jakby nieoficjalny, środowiskowy, ukształtowany przez samych artystów, a jej cele były tak czyste, jak abstrakcyjna etyka. Chodziło o finansowe wsparcie artystów sponiewieranych przez kryzys, a to drogą sprzedaży ich prac i pozyskania środków na stypendia dla kilku demokratycznie wybranych osób, co też stało się faktem. Przed otwarciem ostatniej aukcji wręczono owe stypendia: czterem plastykom kieleckim, dwóm radomskim i jednemu z Krakowa, ponad połowę (kilkadziesiąt tysięcy) tego funduszu zostawiając „na rozmnożenie". Majowa impreza dorzuciła do tego konta nowe złotówki, no i bardzo dobrze, racjonalnie i rozsądnie.

To proste i przekonujące wyjaśnienie traci jednak na logice w momencie przypomnienia, ża aukcja kielecka cieszy się poparciem resortu kultury oraz władz lokalnych; niedawną otwierał np. kierownik Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego, Roman Ostrowski, nie ulega wątpliwości, że człowiek reżimu.

O co więc idzie w tej grze półsłówek, prowadzonej w schludnych dekoracjach? Moim zdaniem, o pieniądze i niezbywalne prawo każdego artysty do zachowania pozorów.

Jeśli chodzi o te pierwsze walory, to życzę plastykom, by uczciwie zarabiali jak najwięcej i gdzie się da, w komitetach i kościołach, tym bardziej, że nikt już w Polsce nie kwapi się, by zlecać artystom poważne prace użytkowe ,pokaźna grupa malarzy, grafików i rzeźbiarzy (też) została zmuszona do przerzucenia się na krawiectwo i wyrób galanterii skórzanej, co przynosi zresztą godziwe dochody (i poczucie upokorzenia), wielu członków warszawskiego ZPAP otwiera butiki, jeszcze inni nie wiedzą wręcz, jak wiązać koniec z końcem.

Ale zarazem nie rozumiem sensu tego całego agresywnego lamentu, którym znacząca część środowiska atakuje władze, domaga się od nich natychmiastowej i wyraźnej poprawy własnej sytuacji materialnej — bojkotując równolegle państwowe imprezy artystyczne, ignorując wystawy prestiżowe, też międzynarodowe. Nie rozumiem, jak można narzekać na anemię oficjalnego mecenatu, odwracając się jednocześnie tyłem do ogólnopolskiego konkursu na plakat o tematyce antykryzysowej i zbywając wyniosłym milczeniem ministerialną propozycję godnego wsparcia artystów przez zaangażowanie ich do tzw. estetyzacji szkół i innych placówek oświatowych, na co resort jeszcze w tym roku mógłby zdobyć 200—250 mln zł! Nie pojmuję też etyki, która godzi manifestacyjną niechęć do inicjatyw artystycznych i socjalnych MKiS ze skwapliwym przyjmowaniem resortowych pieniędzy, wydatkowanych na zakup obiektów estetycznych, które wykonali ci „nieugięci", wyceniając je trzeźwo na 40 tys. zł (malarstwo) i 100 tysięcy (rzeźba). Wyceniając zresztą we własnym gronie, mocą komisji złożonej m.in. z autorów zakupionych prac...

Jedno wszakże wydaje się jasne: że nie cuchną pieniądze podawane przez reżimowych urzędników o „niewątpliwie brudnych rękach", a cały problem moralny przyjmujących mamonę sprowadza się do tego, by zrobić to po cichu, bez rozgłosu, najlepiej za pośrednictwem poczty.

Kto jednak zdoła wyjaśnić, dlaczego pewien artysta-akcjonista otrzymał niedawno w Lublinie, za sprawą właściwego urzędu i związkowych kolegów, 20 tys. zł (chciał 30 tysięcy) za tekturową planszę, mieszczącą dokumentalną fotografię, takiż rysunek, wierszyk i słowny opis „wydarzenia", które spowodował 21 sierpnia 1978 roku, o godz. 22 wypływając tratwą na środek jeziora i własnoręcznie umieszczając (nurkował) na dnie zbiornika zapaloną latarkę, by zaraz po wynurzeniu ogłosić światu, że oto stała się rzecz niesłychana, a mianowicie równocześnie pojawiły się trzy rodzaje fal: „jeziora, mojego głosu i światła"?! Przecież istota tej akcji spełniła się w fizycznym momencie jej zaistnienia, więc planszy nijak nie można uznać za element konstytutywny wydarzenia, w najlepszym przypadku należy widzieć w niej szkicową dokumentację sprawy, albo partyturę ewentualnych repetycji — i wynagrodzić pana W. zgodnie z prawem autorskim, a zatem kwotą 900 zł, złożoną z takich pozycji: fotografia — 100 zł, grafika prosta — 100 zł, tekst opisu — 50 zł, wiersz — 250 zł, koszty techniczne i materiałowe — 400 zł.

Ludzie zorientowani twierdzą, że podobne plansze artysty już wcześniej (precedens!) zakupiło jedno z poważniejszych muzeów sztuki w Polsce, więc... Świetnie, lecz jeśli ktoś zdejmuje majtki w biały dzień i stając na rękach paraduje po ulicach, to my także mamy to robić? Szalejmy, ale taniej (choć w grę wchodzą tylko państwowe pieniądze).

W ogóle Lublin jest wyjątkowo łaskaw dla sztuki z pogranicza tzw. innych mediów, a więc tych technik i metod artykulacji artystycznej, które nie mieszczą się w znajomym obszarze malarstwa, grafiki czy rzeźby. I bardzo dobrze — do pewnego momentu.

Oto niedawno pewna instytucja kulturalna zakupiła w „Desie" przedmiot pt. „Pulsation", czyli niewielki kawałek grubej deski, pokryty zieloną farbą, na którą nałożono czerwone napisy (m.in. „The pro la Art") i takież plamki, w dolnym lewym rogu, akcentując to wszystko gwoździem vel haczykiem, wbitym w drewno.

Nie wykluczam, że w kontekście całej działalności autora obiekt ten ma jakiś sens, tłumaczący się w sferze innej, niż materialna postać „Pulsation", będąca tylko — przy tym założeniu — znakiem wcale interesującej, być może, koncepcji: śmiertelnie poważnej, ludycznej, albo po prostu kpiącej z paradygmatów starej sztuki.

Niestety, takie domniemanie nie wchodzi w rachubę, ponieważ w trakcie transakcji handlowej przedmiot ów określony został jednoznacznie jako „forma przestrzenna, drewno, acryl", a więc jako coś, co ma pretensje do miana autonomicznego, skończonego dzieła sztuki, którego wartość realizuje się w jego strukturze plastycznej, podlegającej znanym kryteriom oceny estetycznej — jak np. metalowe rzeźby, ustawione na ulicach Elbląga w ramach głośnego Biennale Form Przestrzennych z 1965 roku. Właśnie od tego momentu rozpowszechniła się w kraju nazwa „forma przestrzenne", kojarzona bez reszty z autonomiczną konstrukcją plastyczną, najczęściej metalową, choć nie tylko taką.

W tej sytuacji, przykładając wspomniane kryteria do naszego „Pulsationu", padamy trupem, w ostatnim przebłysku świadomości mrucząc, że za coś takiego nie wolno było zapłacić 25 750 zł (co zrobiono), lecz najwyżej 500 zł — za fatygę autora P., drewno, farbę i gwóźdź, bo innych walorów w desce po prostu nie ma.

Domyślam się wszakże, że cała sprawa jest bardziej złożona i w znacznym stopniu wynika z pomieszania pojęć: artystycznych, merkantylnych i moralnych. Otóż: sztuka „innych mediów" jest faktem, wcale zresztą znaczącym i widocznym w polu dzisiejszej aktywności twórczej, co uzasadnia pragnienie kolekcjonowania jej materialnych śladów, choć np. pionierzy konceptualizmu programowo odżegnywali się od takich praktyk, chcąc wyzwolić sztukę z wędzideł rynku i komercji. Ponieważ jednak nie istnieją cenniki na takie rzeczy, a ich promotorzy jeść muszą — plansze dokumentacyjne i „Pulsationy" próbuje się kupować według obowiązujących właśnie, przeciętnych cen na dzieła klasycznej plastyki, co trąci totalnym nieporozumieniem, opierając proceder na mniej lub bardziej świadomym kamuflażu: albo w sferze nazewnictwa („forma przestrzenne"), albo interpretacji, czego przykładem owa notatka znad jeziora, w której stosowna (?) komisja, złożona z malarzy dobrej woli, dopatrzyła się nawet walorów graficznych!

Wstyd powiedzieć, ale jest to operacja co najmniej dwuznaczna, możliwa tylko w czasach mieszania wartości z plewą i ogólnego znerwicowania, które nie zezwala ludziom na racjonalne postrzeganie świata, budzi instynkty agresji obok autodestrukcji. W tym galimatiasie szerokie połacie kultury przejmuje we władanie przeciętność, konsekwentnie (szansa życiowa!) wkraczająca na miejsca opuszczone przez emigrantów (wewnętrznych) o niekwestionowanym dorobku. Albo inaczej: kiedy ci wybitni — pamiętający, że sztuka jest procesem nie znoszącym przestojów — decydują się pozostać na placu, dookolne średniactwo oblepia ich epitetem „kolaborantów", by zaraz potem, na paluszkach i w maskach, pospieszyć do państwowej kasy.

I to jest właśnie najsmutniejsze w tej całej historii.

Ireneusz J. Kamiński

P. S. Dowiaduję się, że już w październiku Wolski z Kurkowskim urządzają kolejną aukcję, nie czekając na „gwiazdkę".

KONIEC DNIA

Wiesław Horabik

STAJĄC przy oknie, popatrzyłem chwilę, najpierw w dół, na gorączkową krzątaninę ludzi na ulicach, a potem w górę. Niebo na zachodzie podbarwił siwy dym, który z tej odległości wyglądał jak równo ucięta wstęga porannej mgły. Nie wiedziałem, czy ten dym ma jakiś związek ze spodziewanym alarmem, czy może jest to zjawisko innego typu. Pod moim oknem zgromadziła się grupka mężczyzn z białymi opaskami na rękawach. Raz po raz przemierzał ulicę samochód z piskiem opon na zakręcie. Daleko, w miejscu, gdzie rosło Nowe Miasto, huczał głośnik tubalnym głosem, pełnym powagi i niepokoju. Za drzwiami słyszałem tupot wielu nóg. Były tam stopy mężczyzn i kobiet, i drobny trucht dziecięcych. Moje radio milczało już od świtu i tylko czasami wydawało głuchy pomruk jak odległy warkot silnika. Czasami także w nim coś zaskrzeczało i rozbłysły nagle głosy, które cichły po chwili i zamierały bezładnie. Chyba na przedmieściu Wieloń zachuczała krótko syrena. Fabryka łożysk obok świeciła pustym dziedzińcem, po którym niegdyś biegali ludzie. Drzwi do magazynu były otwarte. Widziałem przez nie ciemne kadłuby nieruchomych maszyn. Obok budki strażnika kurczyła się na drobnym wietrze rozpostarta gazeta. Na drzwiach głównej hali rozpoczynał się i nie kończył olejny biały napis. Sąsiad z góry stukał do mnie sękatym kijem od szczotki, dając mi znak, że on i jego dzieci już schodzą. Drewno wydawało głuchy, miarowy odgłos, który ignorowałem świadomie i z uporem, i odszedłem od okna, by nie słyszeć go zbyt wyraźnie. W maszynie sterczał wkręcony arkusz papieru i moje słowa, wybite mocno i z pasją:

Tylko śnieg był błogosławiony — miękki, nośny i krzepki. A na świecie nie było już jednego z Nas, tak jak i Was kiedyś nie będzie.

Powróciłem do okna, by popatrzeć na porzucone huśtawki dla dzieci i zdeptany, martwy trawnik z głowami żółtych kwiatów, wciśniętymi w ziemię. Myślałem o dniu, kiedy spotkałem Martę. I chociaż myślałem o nim zawsze w takich chwilach, lub im podobnych, nigdy nie osądzałem go tak, jak teraz. Nagle to upiorne słońce pośrodku nieba i późniejszy chłód, jaki odkryliśmy, i moje nagłe zapatrzenie, i jej niecierpliwość, i nasze pierwsze bezładne słowa — cały ten pogmatwany dzień, w którym zrodziła się nasza jedność — wszystko to wydało mi się po raz pierwszy odległe i nieistotne. Moja wielka przemiana, którą właśnie ona przyniosła mi w darze, rozprysła się dzisiaj nagle i na dobre, w obliczu strachu i żalu, żalu i strachu. Cała noc, jaką miał dotychczas ten dzień, ulatywała teraz z mglistym dymem, w ciemniejące złagodnienie nieba.

Już mnie nie wspomagała. Nie mogłem także myśleć o wszystkich tych rzeczach, o których sobie obiecywałem. Po prostu patrzyłem na bebechy pościeli porzuconej na krótkim pasażu przed blokiem naprzeciw i na okaleczone krzesło, przykucnięte na betonie. Całe moje wnętrze wypełniał pośpiech. Jedno pytanie było tylko w pełni realne: czy zdążę? Jakieś dziecko w krótkich porciętach na szelkach i w dużej, skórzanej czapce na głowie przebiegło ulicę i wpadło w ramiona mężczyzn z opaskami. Przed delikatesami z lewej, gdzie odpadło kilka neonowych liter, dwóch chłopców znalazło jeszcze wolę, aby bawić się w wojnę. Ich terkotanie, naśladujące karabin, brzmiało szyderczo i niedobrze, dopóki nie zabrał ich patrol żołnierzy.

Patrzyłem na nieruchomy, odarty z życia telefon, który już nie zadzwoni, bowiem linie cywilne zostały powyłączane. Dym na zachodzie zrzedniał i mogłem już teraz widzieć wyraźnie wieżę kościoła św. Ducha, który miał stać tu wiecznie. Mężczyźni na dole jak gdyby szykowali się do skoku. Kręcili się niecierpliwie w miejscu, wypatrując, czy nie pojawi się w pasażu ktoś, kogo można by ucapić do schronu. Wiedziałem, że przyjdą i po mnie, kiedy usłyszą ostry, metaliczny dźwięk maszyny. Teraz już moje pragnienia były nieważne. Na świecie zakrólowały krótkie, ostro wyrzucane słowa i nagłe uniesienie broni.

A jednak przyszedł.

Wiedziałem, że nie mogą to być oni. Poznałem go po delikatnym stuknięciu do drzwi i szuraniu nóg na strzępkach wycieraczki. Nasz dozorca. Żal mi było tego człowieczka. Byłem przy nim, gdy umarła jego żona. Pogodna, tłuściutka kobieta, o sercu miękkim jak płatki kwiatów. Szybko usunąłem mój zawór bezpieczeństwa spod klamki. Stał przede mną mały i przygarbiony jak zawsze.

— Musi pan już iść — powiedział cicho.

Za oknem ktoś krzyknął ostro, jak po uderzeniu.

— Powiedzieli, żeby wszyscy zeszli — dodał. — Już czas.

— Już czas — powtórzyłem. — Niech pan wejdzie.

Zobaczyłem nagle swój barek, już niepotrzebny. A może właśnie teraz przydatny najbardziej. Może to dzisiaj miał naprawdę wypełnić swoje powołanie.

— Niech pan wejdzie — powiedziałem, otwierając szerzej drzwi. — Tylko na chwilę.

Stał na progu pokoju, niepewny i pełen wahania. Wyjąłem butelkę wódki.

— Nie — powiedział. — Nie mamy czasu.

— Teraz właśnie mamy go najwięcej — zapewniłem go.

— Nie będzie pan schodził? — zapytał po pierwszym kieliszku.

— Nie.

Miałem papierosy.

— Przyjdą po pana. Powiedzieli, że przyjdą

— Każdy może przecież umrzeć tak, jak chce.

— Pan wie najlepiej, że tak nie jest.

— Teraz będzie prawdziwy koniec.

I wypiliśmy po drugim. Wtedy nagle poderwał się z krzesła.

KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI

Zabawa w chamstwo?

NALEŻY trzepnąć setę, bez chuchu poprawić drugą, poczuć się tak, jak czuje się kondukt idący w deszczu i pod wiatr (recepta B. Łazuki) — żeby uzyskać niezbędną polifonię ze stanem psychicznym bohaterów opowiadań Tadusza Kwiatkowskiego-Cugowa.

Bez takiej przyprawy mogą zasiąść do tej lektury wyłącznie: notoryczni nieudacznicy; kryminaliści chwilowo na wolności; prostytutki; alkoholicy poeci i złodzieje; żebracy. Czyli bohaterowie lub kandydaci na bohaterów Cugowa.

Ale Wydawnictwo Lubelskie, decydując się na ten debiut prozatorski lubelskiego poety w nakładzie 10 tysięcy egzemplarzy, wiedziało, że sięgną po tę książkę także ludzie normalni oraz przyjaciele i apologeci Tadeusza Kwiatkowskiego-Cugowa. Jest ich, w Lublinie tylko, właśnie 10 tysięcy. Ma on także wrogów. Jest nim m. in. Wał, bohater opowiadania „Balanga..." Otóż zapewne sam Wał chętnie by wykupił cały nakład, żeby opowiadanie nie ujrzało światła, którą to okoliczność Wydawnictwo także wkalkulowało w nakład.

W światku (lub raczej półświatku) lumpów, grypsery i nałogów, Kwiatkowski porusza się ze swobodą Dantego, ale ani on, ani też jego potępieńcy nie zgrzytają zębami. Odkrywa, czy też udowadnia, że w tym światku jest normalnie: można się uśmiechać, cieszyć z zafundowanej przez frajera bomby piwa, a jak jest źle, nie do zniesienia, to można wszystko pokryć szpanowaniem przed samym sobą i kumplami. Na tak zwanym marginesie społecznym jest tak samo jak wszędzie, mianowicie znośnie, tak sobie. Obowiązuje tam kodeks moralny i uznanie dla artyzmu w swoim fachu. Jest czystą poezją, prawdziwą ucztą duchową podziwianie szybkości, równej prędkości światła, z jaką głodujący lump, niedbale pochylony nad gazetą ściąga z talerzy niedojedzone resztki w barze („Szybki").. Aby dostrzec precyzję tego fachowca, trzeba dostrzec i rozpoznać ten światek mikroskopijnych dramatów, trzeba autopsji weterana i sokolego wzroku. Myślę, że „Kwiat" dysponuje obydwoma atutami, a już najbardziej autopsją. Szkoda tylko, że obydwa jednocześnie bardzo mu przeszkadzają. Ograniczają perspektywę literacką. Rozmazują puenty, na które stawia przecież mocno i wyraźnie („Szafa").

Epatowanie realiami, głównie knajpiano-pijackimi, w kilkustronicowych opowiadaniach, a więc w zasadzie w miniaturach tego gatunku, sprawia, że autor przegapia potrzebę dyskretnej refleksji, skraca dystans tak dalece, że staje się jedną z postaci uwikłanych w lumpowski reizm. W końcu porzuca czytelnika w jakimś nieważnym miejscu opowiadania, niczym na środku zagraconego pokoju.

Opowiadania „Szybki" nie zawaham się nazwać świetnym, dającym życie całemu zbiorkowi, gdyż właśnie w nim „Kwiat" wychynął ponad rupieciarnię realiów, dając delikatną puentę i przyprawiając kilkakroć niepretensjonalną refleksją nad życiem bogatego nędzarza.

Pozostaje na końcu tych uwag nieuchronne wobec debiutu pytanie w rodzaju: i co dalej? Dokąd zmierza „Główna gonitwa"? Ani myślę zaglądać temu debiutantowi do metryki, ale zgodzi się chyba ze mną, że wprawdzie można, podparłszy się o szynkwas podrzędnej knajpy, napisać cykl knajpiano-dziwkarskich opowiadań, przyprawić je grypserą i nieokreślonym slangiem — i zadźwigać do wydawnictwa. Ale właśnie — co dalej? Hłaskę już mamy. Marka Nowakowskiego także.

Jedna z postaci „Kwiata" w pewnej chwili wyrzuca z siebie zdanie: „Kto z państwa umie lepiej zabawić się w chamstwo, niech weźmie naszą fuchę, chociaż mając dobre recenzje, trudno się tak od razu przestawić". Może i trudno, ale chyba należy, i to żwawo.

Z tylnej strony obwoluty „Głównej gonitwy" uważnie i ufnie spogląda na świat dwóch bobasków w objęciach ich autorki. Jednym z nich jest Tadeusz Kwiatkowski-Cugow. Urodziła dziecię skazane na notoryczną poezję. Gdy właśnie patrzę na nieskalane wejrzenie tamtego dziecięcia i porównuję je z wejrzeniem dzisiejszego „Kwiata", widzę dylemat każdej matki, która rodzi, lecz nie wie kogo.

Henryk Pająk

Tadeusz Kwiatkowski-Cugow: „Główna gonitwa". Wyd. Lubelskie, 1982.

„Kim jestem wobec słowa..."

Tyle w nas nie wyzbytych podziałów
i granic
W najzwyklejszych sprzecznościach
postawy na baczność
I skłonności by racjom nakładać
kaganiec
Nim przynosić pożytek albo szkodę
zaczną...

Tak się deklaruje Zenon Dunajczyk w jednym z wierszy debiutanckiego tomu poezji. Pierwszy zbiorek dojrzałego już wiekiem — i kunsztem twórczym — autora zawiera w sobie dwie części, utrzymane w podobnym klimacie moralnym: cykl „Rozmowa z Janem", wyróżniony I nagrodą w ogólnopolskim konkursie z okazji 450 rocznicy urodzin Jana Kochanowskiego, oraz cykl „Przypisy".

Toczy poeta Dunajczyk rozmowę — a właściwie monolog — z poetą Janem i jest to rozmowa męska, z której wynika obraz dzisiejszej rzeczywistości, zaprawionej gorzką ironią i rozczarowaniem do zastanych prawd. Jaką receptę znaleźć na ludzką egzystencję, kiedy stałe wartości zdewaluowały się i słowo już tylko słowo znaczy? Wiele wątpliwości i niepokojów jest w wierszach Zenona Dunajczyka. Pełen szacunku dla spuścizny wielkiego Poety, stara się zrozumieć, czy zawarte tam prawdy ponadczasowe to samo jeszcze dzisiaj znaczą. A może rozmyły się, straciły aktualność? Jeśli tak, to jaka tego przyczyna — technicyzacja, utrata ludzkiej twarzy, rozczarowanie czy niewiara?

Co powiem ojcom gdy zechcą
odwiedzić
Moje modlitwy moje narzekania [...]
Że chociaż razem siadamy za stołem
Przecież osobno gryzie nas sumienie...

albo:

Bóg Janie w twoich wierszach
wędruje lasami
Zmęczony na rozdrożach w kapliczki
wstępuje [...]
Mój Bóg wychodzi nocą sprawdzić
co dzień skłamał...

Polemizuje Dunajczyk ze stoickim poglądem swego interlokutora, uzasadnia poetyckim słowem swoje racje; zbyt wiele niepokojów, wątpliwości, goryczy i pustosłowia otacza nas dzisiaj, byśmy pozostać mogli obojętni. Wiele ingrediencji jest w „Rozmowie z Janem", począwszy od pytań natury egzystencjalnej, poprzez konflikty moralne, często sprowadzane do ostrej groteski:

Wybacz mi tedy Janie panbryllową
składnię
Ale chciałem też wieszcza poudawać
snadnie...

W całości można te wiersze określić jako poezję etycznego niepokoju, szukającego poprzez słowo całej niepowtarzalnej prawdy o człowieku. Zenon Dunajczyk jest poetą dojrzałym, wyróżniającym się sprawnością formalną. Konflikty etyczne i paradoksy egzystencji ludzkiej potrafi ująć w interesujący, mocny kształt własnego „ja", którego linia melodyczna imponować może słuchem poetyckim. „To jest sztuka słowa, ze słów odsłowiona" — można powtórzyć za Zenonem Dunajczykiem. Szkoda tylko, że zadebiutował tak późno, ale — lepiej późno, niż wcale...

Anna Koziołkiewicz

Zenon Dunajczyk: „Rozmowa z Janem". Wyd. Łódzkie, 1982.

— Dziękuję — powiedział już przy drzwiach — i niech pan zejdzie, zanim przyjdą po pana.

— Nikt po mnie nie przyjdzie.

Machnął ręką. I taka była moja ostatnia rozmowa z żywym człowiekiem.

Kiedy zaczynałem opowiadanie, grzmoty na południu narastały, jakby gigantyczna burza przewalała się za chmurami pod słońcem. To była moja szansa. To rozoranie ciszy, które potężniało. Mężczyźni spod okna przeszli nieco dalej za róg. Przez chwilę ich widziałem, jak zacierali z emocji ręce. Odszedłem od okna. Stukałem wolno i cicho, wiedząc, że już teraz mnie pozostawili. Obok maszyny miałem prawie pełną butelkę wódki, z której popijałem co chwila, czując ogarniające mnie ciepło i zobojętnienie.

Teraz już czas był szybki — popiłem. — *Czułem się tak, jakbym nagle miał pochwycić dziesiątki wirujących końców sznura, które wciąż umykały memu dotykowi. Chciałem przyklepać dłonią to wirowanie, wyczuwalne, jak rozkręcony globus, nagle osadzić je w miejscu, zanim popchnę je dalej. Wieczorami wychodziłem na twardą ziemię i czubkiem buta dziobałem jej niedostępną sztywność, rozglądając się wokół za białym wiatrem. Ale wiatr był suchy i nielitosny, i nawet drzewa nie kołysały się pod nim. Drżały tylko z trzaskiem, jakby ktoś kruszył cienkie szczapy suchego drewna. Księżyc osiadła mgła, a ziemia sterczała pod nim dachami i nierównościami, i skuloną sylwetką psa.*

Zapaliłem papierosa. I kiedy myślałem dalej nad słowami, które muszę odnaleźć, zdałem sobie sprawę z ciszy, jaka nagle zapadła tam, w dole. Była jak przyczajenie. Była jak złudzenie, że bezgłos ma zdolność ocalenia. Popatrzyłem na stertę książek na podłodze, w której poniewierała się cała mądrość i miłość świata. I wtedy usłyszałem ten szmer. Rozedrgany nagle szmer w miejscu, gdzie kończył się dzień. Wypiłem znowu łyk wódki i zacząłem stukać szybko, coraz szybciej, aby zdążyć nim ogarnie mnie znużenie.

Zjeżdżałem w dół między białe już dachy domów i rojowisko czarnych ludzi, podnieconych i niespokojnych. Dzieci przewracały się na śniegu, a kobiety w krótkich kożuchach stały w drzwiach parujących chat. Niektórzy ludzie patrzyli na mnie, a ja, po długiej jeździe, szedłem niewprawnie, gdyż między domami opad trzyma się krótko. Kupowałem kolorowe puszki i ciepłe, pachnące bryły chleba, i karton caro, i paczkę tytoniu, i śliskie woskowe świece, i dwie centralne gazety. Nabyłem jeszcze parę innych rzeczy i plecak zaczął ciągnąć mnie w tył, gdy szedłem do domu lekarza.

Kiedy skończyłem ten akapit, tamten szmer był już wyraźnym warkotem. I nagle zdałem sobie sprawę z bezsensu tego, co robię. I poczułem pustkę głębszą od samej śmierci. I położyłem się na stercie książek, i leżąc przeklinałem warkot na niebie, i płakałem, jak dziecko ogarnięte wielką chorobą, która zabija czucie, i wtedy, równie nagle, olśniła mnie świadomość, że jestem gotowy. A potem usłyszałem gwizd przecinanego powietrza i zobaczyłem ponad głową oślepiające błyski, i usłyszałem chrobot walących się domów, i szybko w myślach kończyłem swoje opowiadanie-modlitwę, mimo iż wiedziałem, że nikt już jej nigdy nie przeczyta:

Anna płakała oparta o framugę drzwi, a ja przeniosłem go na wielkie, puchowe łoże, które jak relikwia stało w ich dawnej sypialni, starannie zasłane. Niosąc go myślałem, że oddaję go jej, a całe wnętrze bolało mnie od płaczu i poczucia straty.

— Usiądź przy mnie — powiedziałem do Anny. — Niedługo będą tu ludzie. Będzie ich tak wielu, jak jeszcze nigdy w tym domu.

Zjeżdżałem w dół między białe dachy domów, w lenistwo świątecznego przedpołudnia i bezruch czasu, który przestał się liczyć, jak gdyby nagle coś odgrodziło mnie od przemijania. Tylko śnieg był błogosławiony — miękki, nośny i krzepki.

A na świecie nie było już Nas.

DEBIUTY

Jadwiga Jeżyna

NASZ START

Nie mam domu
gdzie można by
postawić kwiaty
we własnym wazonie

W obcym kącie
ułożyłam tomiki
wierszy najbliższych

Pusty pokój
zakochany we mnie
a nie mój
nie może przyjąć
gości z całego świata

Nie mam domu
Tam można by
ściany wyklejać marzeniami
W nie-moim domu
tylko cisza — wierna towarzyszka
budzi mnie co rano
by witać kolejny dzień
tak samo

IN NUCE

Spojrzałam na talerz
z orzechami
i weszłam w skorupę
Otoczyłam się grubym pancerzem
Rzucono mnie na falę wodną
Miotana od brzegu do brzegu
nie wchłaniałam wody
ale bolały mnie uderzenia
o skały o kamienie...
Tych z lądu nęciła tylko
skorupa orzecha
i zarzucali sieci żeby ją złowić
Ratowały ją fale burzliwe
ale się poddała
Uchwycili w kleszcze
bezwstydnie gnietli aż... pękła...
wtedy wyjrzałam z wnętrza
byłam cała krwawiąca
a oni dzielili się kawałkami
Skorupę ponownie wrzucili
do wody w zapomnienie
Tylko ja o niej dotąd
pamiętam
a oni... odeszli

Zbigniew Rosa

WYSPY SZCZĘŚLIWE

swoją podróż
na wyspy szczęśliwe
odbędziemy
w dłoniach

zaczniemy
od
ust

po drodze
zwiedzimy
całe ciało

CZAJNIK

złapałem czajnik
na gorącym uczynku
kradł wodę
spytałem
dlaczego?
milczał
postawiłem go
w ogień
pytałem dlaczego?
milczał
w końcu
puścił parę

herbatę
pili wszyscy

Nina Sikora

* * *

myślałam
będzie dobrze
tylko niech bliżej klekotu bociana
niech bliżej kaczeńców

ale wielkie zachwyty
spłynęły jak deszcz po szybie
uciekły spłoszone

* * *

umiera słońce w kartoflonych dymach
babie lato moczy nici w rosie

już jaskółki pożegnałam
czterolistną zasuszyłam
i tylko jarzębina
kpi czerwienią ze mnie

Skrawek nieba - skrawek nadziei

ZBLIŻAJĄCA się pięćdziesiąta rocznica tragicznego dla Europy i świata dojścia do władzy Hitlera (30 stycznia 1933 r.) rozpętała w telewizji Republiki Federalnej Niemiec lawinę dyskusji, filmów dokumentalnych oraz seriali o Trzeciej Rzeszy. To temat sam w sobie, na pewno kontrowersyjny, niemniej na uwagę zasługuje ośmioodcinkowy obraz pt. „Ein Stück Himmel" („Skrawek nieba"), zwany przez niektórych krytyków Anty-Holocaustem. Jest to przejmująca w swej autentyczności historia tragicznych przeżyć żydowskiej dziewczynki, Janiny Dąwidowicz, w warszawskim getcie, historia, którą mieszkańcy RFN mieli okazję oglądać co tydzień począwszy od 19 kwietnia br. Reżyser Franz Peter Wirth, znany także u nas dzięki serialowi „Buddenbrookowie", uważa „Skrawek nieba" za najważniejsze dzieło swego życia.

Dziewięcioletnia córeczka bogatych mieszczan w Kaliszu, jak wiele innych polskich dzieci korzystająca z ostatnich letnich dni 1939 r., nie jest jeszcze w stanie, podobnie jak i jej rodzice, przewidzieć nieszczęść, które przyniesie wojna. Reżyser operuje po mistrzowsku błahymi na pozór szczegółami: wazon, ciepłe światło lampy, srebrne nakrycia stołowe — to symbol solidnej mieszczańskiej egzystencji. W następnym odcinku serialu milknące w uliczce kroki ojca, powołanego do służby wojskowej, oddają nagłe osamotnienie i bezradność rodziny Dawidowiczów. Wytrawni krytycy uchwycili w serialu znany już z „Buddenbrooków" motyw upadku rodziny, widziany tutaj w sposób odmienny, odkrywczy, a nasuwający skojarzenia z „Dziennikiem Anny Frank": oczami przerażonego dziecka, walczącego wbrew wszystkim okropnościom dorosłego świata o iskrę nadziei, o przetrwanie. W stale pogarszających się warunkach, wśród łapanek i transportów odchodzących z getta do obozów zagłady, Janina uczęszcza do konspiracyjnej szkoły, gra Snieżyczkę na szkolnym przedstawieniu. Rodzice próbują ukryć się wraz z nią w ciemnej klitce i tu ukazuje swym bliskim skrawek nieba — skrawek nadziei.

Dzieje małej Niny, dziś pięćdziesięciodwuletniej kobiety, zostały spisane przez nią samą w dwóch powieściach autobiograficznych: „Ein Stück Himmel" (Skrawek nieba") i „Ein Stück Erde" (Skrawek ziemi") pierwotnie w języku angielskim, gdyż autorka, jak twierdzi, nie chciała przeżytych okropności wyrażać w swym ojczystym, polskim języku. Pisarkę tworzącą przede wszystkim dla siebie, „z potrzeby serca" jaką jest Janina David (takie nazwisko obecnie nosi), cechuje duża wrażliwość na brzmienie słów. Dbając o autentyzm filmu o swoim dzieciństwie, służąc współpracą i radą reżyserowi w czasie zdjęć w Bawarii, przekonuje się z ulgą, że język niemiecki nie musi służyć jedynie do wydawania komend, jak w getcie, ale jest również mową pisarzy, artystów i zwykłych, porządnych ludzi.

Bezsprzecznym sukcesem realizatorów filmu stało się obsadzenie roli Janiny przez 13-letnią uczennicę Danę Vavrovą, która potrafiła, zdaniem zarówno krytyków jak i swego pierwowzoru, sprostać trudnemu zadaniu, unikając sztuczności i egzaltacji. Serial „Skrawek nieba" przedstawia losy Niny w latach 1939—1945, ukazując widzom jej szczęśliwe „przeszmuglowanie" poza mury getta, schronienie w klasztorze, powrót po zakończeniu wojny do stron rodzinnych, bezskuteczne poszukiwanie rodziców i konieczność pogodzenia się z wiadomością o ich śmierci w obozie koncentracyjnym na Majdanku. Bohaterka filmu stara się jednak nie tracić wiary w możliwość znalezienia swego miejsca w skomplikowanym powojennym świecie, jak i nie straciła tej wiary Janina Dawidowicz, która szukała swej szansy we Francji i Australii, by wreszcie znaleźć drugą ojczyznę w Anglii, gdzie poświęciła się pracy przy chorych jako pielęgniarka. Do osiągnięcia spokoju wewnętrznego był dla niej jednakże konieczny obrachunek z przeszłością, którego dokonała po wizycie w Polsce w 1962 r., będącej dla niej pielgrzymką do świata dzieciństwa. Zachęcona przez wielu czytelników swego artykułu o tej podróży w „Manchester Guardian", Janina Dawidowicz zdecydowała się na napisanie „Skrawka nieba", na którego kanwie powstała filmowa opowieść o dziecku, któremu udało się nie stracić nadziei.

Bożena Kowalowa

POCZTA LITERACKA

Tadeusz D. Wrocław. „Dobrymi chęciami piekło brukowane" — chciałoby się niemal w każdym numerze „Kameny" odpisać części korespondentom tej rubryki. Nawet najpiękniejszy temat nie czyni z utworu wiersza, a już wcale poezji. Twierdzi Pan, że nasz nowy żaglowiec „Dar Młodzieży" będzie:

Zawijać do portów i porcików
Oglądać wspaniałych morzików.

Miał Pan jeszcze wiele innych możliwości rymotwórczych. Mógł Pan przecież mu kazać nadto zjadać wspaniałych torcików, albo pierników, choć to niegramatycznie. Mogę podać wiele przykładów, gdzie Pan poświęca sens i gramatykę dla rymu. Ważne jednak, że jest Pan optymistą i wszystko Pana cieszy. Proponując druk swoich wierszy dodaje Pan: „Prośbę swą uzasadniam aktualnością tematyki". W poezji, a utwory swe Pan tak traktuje, ta argumentacja nic nie znaczy.

Stanisław K. Rzeszów. Nawet dolepiane podobizny Mona Lizy i innych uznanych piękności, którymi uracza mnie Pan co najmniej raz tygodniowo, nie pomogły mi odczytać tych wierszy. Mogę się jednak dorozumieć, że mają te być liryki odzwierciedlające Pańskie piękne uczucia. Wydaje mi się, że trzeba się potrudzić nie tylko nad jakością tych erotyków, ale przede wszystkim nad ich czytelnością. Na razie „sfolguj" Pan, Panie Stanisławie!

Jerzy K. Jelenia Góra. Proszę napisać coś o sobie, o poetce Janet Kersey. Chciałbym poznać inne Pańskie wiersze własne.

Bogumiła M. Rzeszów. Te dwa utwory nie pozwalają się zorientować w Pani możliwościach. Na mój gust zbyt długi przeprowadza Pani przewód dla swoich myśli, współczesny wiersz tego nie znosi. Z treścią muszę się zgodzić, bo jakże kobiecie odebrać przekonanie, że jest osłoną mężczyzny, ba, że bez niej, to on by zginął, boć w rzeczywistości jest słabą istotą, chociaż wygląda jak tur.

TJ

„Kamena" na Mundialu (1)

Świat wokół piłki

Waldemar Piasecki

ZACZNĘ od wyjaśnienia. W Hiszpanii i na dodatek w czasie Mundialu znalazłem się tyleż dzięki przypadkowi, co i naczelnemu redaktorowi „Kameny", który nie wahał się mnie tam posłać. Pojechałem, bo zawsze miałem — zabobonny niekiedy — szacunek do masowych misteriów, angażujących emocje i umysły milionów ludzi. Będących wyznaniem pewnej wiary i tajemnicy. Z pewnością futbol jest takim misterium.

Wyjaśnienia fenomenu piłki nożnej jako widowiska masowego i zjawiska socjologicznego są różne i na ogół znane miłośnikom piłki, dla których ważne jest nie tylko to, kiedy Boniek strzeli bramkę, ale także i to, dlaczego oni siedzą przed ekranem telewizora, czy na stadionie. Obgryzają paznokcie, skaczą do góry, krzyczą, złorzeczą, ściskają zupełnie obcych ludzi, wychodzą wiwatować na ulicę, czy oczekują dwanaście godzin na spóźniający się samolot z drużyną, która w ich imieniu stawała na dalekich stadionach. Dzieje się tak, bowiem zarówno jako zbiorowość, jak i indywidualnie, jesteśmy zorientowani na sukcesy, a nie klęski; wolimy dostawać medale niż kopniaki. Z braku własnych naszą potrzebę znaczenia zaspokajają ersatze, osiągnięcia innych. Gol Laty — za otyłość i zadyszkę na trzecim piętrze schodów. Parada Młynarczyka — za potrącenie premii. Twarde wejście Żmundy — za robienie w spodnie na widok dyrektora. Albo inaczej. Mistrzostwo świata — za klęskę na Falklandach. Kilka bramek — za angielski Gibraltar. Takie właśnie substytucjonalne odczytywanie futbolu jest chyba najbliższe prawdy. Cała reszta: sztafaż zewnętrzny, rytuał przedmeczowy służy w gruncie rzeczy realizacji celu zasadniczego; naszego osobistego spełnienia. Podobnie jak i emocje towarzyszące widowisku.

Wielokrotnie myślałem o tym już w samej Hiszpanii, a przekonywałem się rozmawiając z kibicami, zawodnikami, dziennikarzami, organizatorami i innymi napotykanymi ludźmi.

Pierwsze moje zetknięcie z Mundialem nastąpiło już na lotnisku Okęcie. Grupa ludzi w różnym wieku, uzbrojona we flagi i inne akcesoria, czekała na odprawę leniwie rozwalona w fotelach. Różny wiek, różny wygląd.

— Ja tam, panie kolego, kibic jestem od lat. Na Wembley byłem. W RFN-ie byłem. Do Argentyny nie dało rady pojechać. Ale już do Hiszpanii to sobie powiedziałem, że jadę za każdą cenę... — pan Wacuś ociera wysokie spocone czoło.

Pan Wacuś jest mechanikiem samochodowym i, jak twierdzi, nie ma dla niego rzeczy nie do zrobienia. I w motoryzacji, i w życiu. Pan Wacuś powie mi, że dostać się do grupy wyjazdowej było trudno i owszem to go kosztowało ekstra. Nie powie ilei w jakich walorach, bo idiotą nie jest, a myśli jeszcze wyjeżdżać. Pan Wacuś jest „ścigantem". Jego grupa już jedzie autokarem do Barcelony trzy dni. On niestety nie, bo nie dostał na czas paszportu. Leci więc do Madrytu. W nocy wsiądzie w pociąg do Barcelony i na rano będzie. Tam musi trafić na kemping „Torro Bravo", gdzie mają mieszkać Polacy.

Rozmowa się klei. Wacuś rozwija koncepcje. Widać, że się zna na piłce. Na życiu — też. Z tym, że już chyba mniej.

— Bo, panie kolego, już pięćdziesiątka na kark lezie, a ja sam jak ten palec. Widzisz pan?

Owszem, różne takie się starały, ale to nie był towar dla pana Wacka. Wietrzył podstęp. Bo nie ukrywa, że jest „siedmiocyfrowcem". Znaczy się — obliczają go w milionach. W wydziale finansowym. I z tego wszystkiego zostaje mu piłka.

Numery telefonów Rafała i Moniki rozpoczynają się od siedemnastki. Każdy warszawiak wię, co to znaczy. Saska Kępa i już. Oni też gonią swoją grupę. Na lotnisku żegna ich kilkanaście osób. Koledzy i koleżanki. Ciuchy zachodnie, samochody zachodnie. Rytuał pożegnania dziwnie znajomy. Rzędem i buzi.

Wycieczka kosztuje ich 40 tysięcy i po 150 dolarów. Właściwie to trochę więcej, bo dochodzi przelot samolotem. Z powodu opóźnienia paszportów. Rafał studiuje prawo. Monika już pracuje. Za wyjazd płacą rodzice.

Dyrektor Marian W. leci już na własny rachunek. Futbolem, owszem, interesuje się. Bez przesady jednak. Chce zobaczyć Hiszpanię, oderwać się od kłopotów. Od kartek na wódkę. Od kłopotów w wielkim zakładzie, którym kieruje. Od w ogóle „tego wszystkiego".

Zapłacili i jadą. Żeby zapłacić musieli szukać dojść, układów i poparcia. Znaleźli.

Tego samego dnia w Madrycie na Plaza Espana spotkam kibiców angielskich. Będą chlali piwo i tanie wino. A potem rozbiorą się i wejdą do sadzawki otaczającej pomnik Cervantesa z monumentalnymi postaciami Don Kichota i Sancho Pansy. Będą się kąpać i wrzeszczeć. Brudni, wymięci, niektórzy wytatuowani. Tu nie znajdziesz dyrektora, młodzieży z zasobnych rodzin. Wielu z nich zapewne rozrabia w metrze po świętej wojnie Arsenalu i Chalsea. Odłożyli trochę funciaków i przyjechali. Grupami po 30—40 osób. Czują się pewnie i reszta ich nie obchodzi. Gotowi do awantury i bójki. Żeby przyjechać, nie potrzebowali układów. Ich Mundial będzie pewnie inny niż nasz.

W ogóle na pierwszy rzut oka Hiszpania mundialowa mogła budzić pewne rozczarowanie. Wiele osób przed wyjazdem spodziewało się pewnie, że wpadnie w kocioł pełen szaleństwa. Że będzie świadkami nie kończącego się karnawału. A tu nic z tych rzeczy. Mundial nie był wszechobecny. Nie opanował ulicy. Owszem, były reklamy. Hiszpański bramkarz Arconada zachęcał do picia Coca-Coli. Pele do picia kawy brazylijskiej. Eusebio do korzystania z portugalskich linii lotniczych. Maradona do robienia zdjęć na filmach „Agfy". Itd. W sumie jednak nie było tego dużo.

Nie można też powiedzieć, aby w stolicy Hiszpanii szalał „Naranjito" — oficjalna maskotka XII Mistrzostw Świata. Pomarańczka ubrana w strój piłkarski rzucała się w oczy od czasu do czasu. Z plakatu, sklepowej witryny, czy opakowania jakiegoś towaru. W ogóle, na przykład, Mundial nie był widoczny w madryckim metrze, a jest ono przecież na Zachodzie najpowszechniejszym — obok telewizji — miejscem reklamy.

Myliłby się również ten, kto oczekiwałby, że piłka nożna opanowała życie codzienne Hiszpanów i nic poza nią nie wiedzieli od 13 czerwca do 11 lipca 1982 roku. Robili swoje. Pracowali, spotykali się z rodzinami i znajomymi. Godziny spędzali przy winie. Wielokrotnie mogłem się przekonać, że często ponad transmisję piłkarską przedkładali atrakcje towarzyskie. W jakiś sposób burzyło to stereotyp i hiszpańskości, i fascynacji futbolem. Być może, miała na to wpływ słaba postawa drużyny hiszpańskiej, po której tak wiele sobie obiecywano.

Tak więc pierwszy kontakt z Mundialem był zaskakujący. Okazywało się nagle, że przeżywamy go w Polsce bardziej intensywnie niż oni tam na miejscu. Zastanawiałem się wówczas, na ile pobyt w Hiszpanii skoryguje wcześniejsze wyobrażenia, nadzieje i spodziewania.

* * *

Mówi się, że sport jest czysty, apolityczny, że jest pewną ideą, do której dążenie uszlachetnia, wzbogaca, uczy. Być może, kiedyś tak było. Być może, było tak kiedyś również w piłce. Bo teraz niestety tylko bywa. Futbol śmierdzi pieniądzem i polityką.

Losowanie obecnych mistrzostw poprzedziły wielkie dyskusje i solenne zapewnienia o konieczności stworzenia wszystkim równych, a przynajmniej optymalnych, szans startu. Jednym z mechanizmów zabezpieczających miało być rozstawienie drużyn. Przyjęto od początku zasadę, że rozstawi się Hiszpanię, jako gospodarza, oraz pięć drużyn, które zdobywały tytuł mistrzowski: Brazylię, Argentynę, RFN, Włochy i Anglię. Polska w takim układzie nawet przez pięć minut nie wchodziła w grę, jako ewentualnie preferowana. Mimo to znaczna część polskiej prasy do ostatniej chwili utrzymywała iluzję, że toczą się dyskusje nad nami i Anglią. Jeszcze przed losowaniem wiadomo było, że Brazylia chciałaby grać w Sewilli, Hiszpania w Walencji, a RFN w Gijon. Czyniono nawet pod tym kątem rozeznania dotyczące hoteli i ewentualnych rezerwacji. Pogłoski okazały się prawdziwe i rozstawienie je potwierdziło. Okazało się również, że siatka rozgrywek została tak skonstruowana, iż gospodarz mógł trafić na Brazylię (uważaną za powszechnego faworyta) dopiero w finale. Podobnie zresztą jak i na aktualnego wówczas mistrza świata — Argentynę. Takie ustawienie grup pociągnęło za sobą inną konsekwencję: drużyny, które trafiły do jednej grupy już w początkowej fazie, nie mogły zagrać ze sobą w finale (najwyżej w półfinale) Mundialu. Została podważona de facto zasada zrównania szans polegająca na awansie dwóch drużyn z grupy. Oczywiście można się zastanawiać, czy był to przypadek, czy ukłon w stronę gospodarzy. Nie bawiący się w dyplomację kibice angielscy otwarcie mówili o tym jako o zmowie kierownictw FIFA i Królewskiego Komitetu Organizacyjnego Mistrzostw (RCOE). Również co bardziej odważni dziennikarze przebywający w Madrycie wiązali ów fakt z brazylijskim pochodzeniem szefa FIFA i hiszpańską organizacją Mundialu.

Attaché drużyny polskiej, konsul PRL w Madrycie, uczestnik losowania i główny organizator pobytu naszych piłkarzy w Hiszpanii, Wiesław Kasprzak, ma do sprawy stosunek mniej emocjonalny.

— To wynikało z układu sił politycznych w futbolu — mówi. — Przy czym wyraźnie zaznaczam, że chodzi o układ sił politycznych w futbolu, a nie w świecie w ogóle. Są piłkarskie mocarstwa mające swoich przedstawicieli we władzach FIFA i UEFA i one dysponują większą siłą przebicia i wpływania na decyzje. Tak było podczas losowania. Poza tym gospodarzom mistrzostw zwykle się nie utrudnia.

Politykiem nie jestem, ale sens pojmuję. Wątpię jednak, czy podobne zdanie mieliby na przykład piłkarze Hondurasu, których federacja narodowa nie ma ani siły przebicia, ani pieniędzy zresztą. Do tego nawet stopnia, że w pewnym okresie przygotowania do mistrzostw i w ogóle sam przyjazd stanęły pod znakiem zapytania. Mimo to ów Honduras omal nie wygrał w swoim pierwszym meczu z potężną i ustosunkowaną Hiszpanią, tracąc bramkę na kwadrans przed końcem meczu z karnego, który nie musiał być podyktowany. I może by nie był, gdyby przeciwnikiem sympatycznych ciemnoskórych piłkarzy był kto inny. Ten sam Honduras stracił zresztą w ostatnich sekundach meczu z Jugosławią kolejną bramkę z „jedenastki", grzebiąc szanse na awans do dalszych gier. Ta sama Hiszpania strzeliła z kolei z karnego bramkę Jugosławii. Karny podyktował sędzia za przewinienie popełnione przed polem karnym, co komentowano jako ewidentny skandal i nawet hiszpańscy żurnaliści pisali, że takich prezentów Hiszpanii nie potrzeba. Ci sami żurnaliści nie bez ironii pisali po meczu Hondurasu z Jugosławią, że to, co im (Jugosłowianom) jeden sędzia odebrał, drugi oddał. A obok było zdjęcie leżącego na ziemi bramkarza, 24-letniego Julio Arzu, płaczącego jak dziecko. Tylko, że on przyjechał grać na Mundial, zapewne mało wiedząc o układzie sił politycznych w piłce. I może nadal by nie wiedział, gdyby Honduras trafił do innej grupy eliminacyjnej.

Na szczęście dla futbolu ekipa hiszpańska okazała się tak słaba, że układ sił przestał być potrzebny. Być może, jest to pewną pociechą dla Arzu i jego kolegów...

Myślę, że podobną pociechą dla Kamerunu i Algierii są również lokaty Italii i RFN. Potęgi europejskie wyeliminowały drużyny afrykańskie bowiem nie dzięki lepszemu kopaniu piłki, a dzięki regulaminowi (Włochy) i właśnie „polityce" (RFN). Można się dziś zastanawiać, co by było, gdyby Algieria, prowadząc 3:0 z Chile, zaczęła uprawiać politykę murowania własnej bramki i faulowania przeciwnika. Być może, za cztery lata będzie mądrzejsza.

Niestety, nie udało się uniknąć na Mundialu polityki również w znaczeniu powszechnym, nie tylko futbolowym. Obawiano się konfliktów angielsko-argentyńskich, ale tych nie było. Obawiano się zamachów ETA, ale organizacja ta, zgodnie z zapowiedzią, wstrzymała akcje terrorystyczne na czas Mundialu. Obawiano się ekstremistów palestyńskich, ale się nie pojawili. Doszło natomiast do starć angielsko-hiszpańskich.

Grupa kibiców angielskich była bodaj najliczniejszą, po brazylijskiej. Była to jednocześnie grupa najbardziej nacjonalistycznie nastawiona. Jej działania miały często charakter prowokacji politycznej. Ponieważ nie było bezpośredniego kontaktu z adresatami hasła: „Falklandy na zawsze brytyjskie!" (Argentyńczykami), z dużym upodobaniem informowali Anglicy Hiszpanów o brytyjskości Gibraltaru, co wywoływało oczywiście gwałtowne reakcje. I tak podczas meczu RFN — Anglia doszło do konfliktów, które po spotkaniu przerodziły się w bójkę z użyciem noży, łańcuchów i pałek. Jeden Anglik w stanie ciężkim przewieziony został do szpitala. Nie pozostając dłużni, Brytyjczycy urządzili w centrum Madrytu demonstrację. Szesnastu młodych osiłków wyszło na balkon jednego z hosteli, nago, jak ich pan Bóg stworzył. Mieli ze sobą wielką flagę hiszpańską, w którą zaczęli wycierać genitalia, wykonując również inne „stosowne" ruchy i gesty. Interweniowała policja, aresztując całą grupę. Później jeszcze kilkakrotnie dochodziło do podobnych ekscesów, wystąpień, bójek z udziałem Anglików. Policja także się nie cackała, lejąc często niewinnych, a później przepraszając w prasie. Atmosfera ta nie będzie sprzyjać mającym się niebawem rozpocząć, a kilkakrotnie odraczanym, rozmowom hiszpańsko-brytyjskim (m. in. w sprawie przyszłości Gibraltaru).

Ze spraw nam bliższych należy odnotować pewne próby politycznego wykorzystania meczu Polska — ZSRR, zakończone zresztą niepowodzeniem.

Próbowano również nadać rozgłos sprawie pozostania w Hiszpanii grupy kibiców polskich, którzy wyjechali oglądać Mundial z „Orbisem" i „Sports-Touristem". Problem okazał się jednak mniejszy niż by niektórzy chcieli i szybko zniknął z prasy, radia i telewizji.

Kończąc pierwszy odcinek mundialowych reminiscencji, nie sposób odmówić sobie refleksji, że jesteśmy już dość daleko od czasów uroczego starszego pana de Coubertin'a i jego pięknych, choć mocno zwietrzałych, idei. Sport i futbol śmierdzą polityką i forsą. O polityce trochę już było. O forsie w następnym odcinku.

Jedno jest pewne. Bez wojny świat się może obejść, bez futbolu — nie. Byłoby dobrze, gdyby tak, jak chciałby w swym pięknym posłaniu do uczestników Mundialu Jan Paweł II, jedno zastąpiło drugie. Tylko czy jest to możliwe?

Karty z historii Międzyrzeca Podlaskiego

Mieszczaństwo trzymało się twardo

Maciej Podgórski

W ROKU 1390 Władysław Jagiełło nadaje Abrahamowi Chamcowi wsie Międzyrzec i Stołpno, obligując obdarowanego do stawiania się na każdą wojenną potrzebę samotrzeć w uzbrojeniu z kopii, łuku i kołczanu. I taka byłaby najwcześniejsza wieść historyczna.

Założenie miasta w pierwszej połowie XV wieku jest prawdopodobnie dziełem Jana Nassutowicza, starosty brzeskiego. Dokument lokacyjny nie zachował się. W akcie erekcyjnym kościoła parafialnego św. Mikołaja z 1477 roku Międzyrzec określony został jako miasto „od dawnych lat wzniesione".

Pierwotni właściciele dóbr międzyrzeckich, Chamcowie i Nassutowicze, otwierają całą litanię możnych panów, do których przez setki lat Międzyrzec należał: Zabrzezińscy, Sapiehowie, Zbarazcy, Tęczyńscy, Kiszkowie, Daniłowiczowie, Opalińscy, Lubomirscy, Sieniawscy, Denhoffowie, Czartoryscy i Potoccy.

Miasto przechodziło z rąk do rąk prawem dziedziczenia oraz różnych koligacji (dopiero Potoccy nabyli Międzyrzec drogą kupna). Nie obyło się bez sporów, wieloletnich procesów, a nawet zajazdów, podczas których i trup padał czasem.

Mimo tego Międzyrzec rozwijał się o wiele bardziej rytmicznie niż pobliski Radzyń czy Siedlce, bez tak długotrwałych zastojów i załamań, aczkolwiek nigdy nie był liczącym się ośrodkiem administracyjnym i na równi z innymi miastami Podlasia dzielił dramaty wojen, zaborów, powstań, pożarów i epidemii.

Korzystne położenie miasta, usytuowanego na pograniczu Korony z Litwą (złączonych unią), przy uczęszczanej drodze kupieckiej z Łukowa do Brześcia, sprawia, że Międzyrzec w XVI wieku staje się zasobnym i gwarnym skupiskiem Polaków, Rusinów i napływających Żydów.

Oczywiście, zawieruchy wojenne drugiej połowy XVII i początku XVIII wieku przyhamowały ten rozwój, co miejski pisarz utrwalił poetycko w księgach wieczystych pod datą 1706 roku (cytaty za P. Aleksandrowiczem, Miasto Międzyrzec Podlaski w XVII i XVIII wieku, „Rocznik Międzyrzecki" 1970, t. II):

Od dziesięciu lat zamieszka. Nie przyniosła nic do mieszka,
Gdy z stodoły ani z broga nie masz co wziąć, wielka trwoga.
Wziął się Szwed bardzo na Sasa, ni w polu, ani do lasa.
Tak coś między sobą knują, ubogi lud rujnują.
Car moskiewski roku tego, a do ludu litewskiego
Wkroczył na pomoc Koronie. Tak się dał znać onej stronie.
Rzucił z skarbu pluskwy swoje, dając na pomoc Koronie.
Nie takie jak przedtem były, bo się w mniejsze obróciły.
Kozak też z nimi hołduje, Podlasie nie tak szanuje.

Mimo wszystko mieszczaństwo międzyrzeckie trzymało się twardo i — jak widać — z humorem znosiło losu dopusty. Handel i rzemiosło nie zamierały, kupcy jeździli po towar i z towarem na jarmarki do Lublina, Chełma czy Brześcia. Pędzono i szynkowano piwo, garbowano skóry, szyto buty.

Wojna nie wojna, ludzie jak to ludzie, pracowali, modlili się, grzeszyli, co dokumentują księgi wieczyste miasta:

Michał Paszkucki, Adam Stelmachowy zięć, Ihnat Kreszczuk, Artim Mosik, Jędrzej Bibrzuk i inni mieszczanie na dziesięciu wozach wieźli gościńcem w niedzielę po południu piwo do Brześcia.

U Maryni w Pościszach siedzieli przy piwie Szymon Dziesiętnik, przy nim Jurko Gołaszczuk i inni. Kiedy pijany Dziesiętnik spał u niej w domu, zginęło mu trzynaście zł.

Piotr Wosyk z Wygnanówki zabił z rusznicy Stanisława, syna Serheja Kuzianyka z Berezy. Pojmano go i uwięziono. Piotr Wosyk pogodził się z ojcem zabitego: zapłacił sumę pieniężną i na kościoły.

Dziady wędrowne złapali psa i wrzucili do studni.

Choć były to czasy, że każdy miał fuzję i straszył, Międzyrzec nie rozpierzchnął się, przetrwał i szybko otrząsnął, aby rozwinąć się w największy ośrodek miejski Podlasia drugiej połowy XVIII i początku XIX wieku. Spora w tym zasługa Augusta, Adama i Konstantego Czartoryskich, do których kolejno należał w latach 1731—1844.

Jeszcze w roku 1820 Międzyrzec, znajdujący się w obwodzie radzyńskim województwa podlaskiego, nie tylko znacznie przekraczał pod względem liczby ludności Radzyń, od którego był większy zawsze (i do dziś), ale i dorównywał wojewódzkim Siedlcom.

Z istniejących obecnie w mieście kościołów najstarszy jest pod wezwaniem św. Mikołaja i jemu warto się nieco przypatrzeć.

Ufundowany w roku 1477 przez Jana Nassutowicza, założyciela miasta, był budowlą gotycką. Spalony w połowie XVIII wieku. Szybko odbudowany ze środków Adama Czartoryskiego, który doglądał spraw międzyrzeckich, aczkolwiek wolał przebywać w Warszawie lub Puławach u boku małżonki, Izabelli z Flemmingów.

W ołtarzu głównym na zasuwie znajduje się obraz ukazujący św. Mikołaja dającego posag trzem dziewicom, płótno z przełomu XVIII i XIX wieku, utrzymane w stylizacji klasycystycznej, a ciekawe z dwu powodów.

Po pierwsze — że autorem jest prawdopodobnie Franciszek Smuglewicz, twórca o niebagatelnym znaczeniu w sztuce polskiej, jeden z prekursorów malarstwa historycznego. Po drugie — iż spod religijnego sztafażu obrazu wyłania się portret rodzinny Czartoryskich. Adam jako św. Mikołaj z brodą i w szatach biskupich. Izabella — niewiasta opiekuńczo towarzysząca. Maria, Teresa i Zofia, ich córki — trzy dziewice w sukniach empire.

W kościele znajduje się drugi obraz przypisywany Smuglewiczowi — w zwieńczeniu ołtarza głównego. Sam ołtarz — rokokowy, jak i większość wewnętrznego wyposażenia. Prezbiterium budowli może być pozostałością gotycką, korpus nosi cechy barokowe. Zaś fasada (z 1808 roku) jest klasycystyczna, autorstwa sławnego podówczas architekta, Christiana Piotra Aignera, który stworzył świetność rezydencji Czartoryskich w Puławach.

Fasada ma skromną tabliczkę z informacją, iż w latach 1802—1831 proboszczem międzyrzeckim był Adam Kukiel. Wiadomo o nim skądinąd, że w

Uliczka w Międzyrzecu Podlaskim
Fot. W. Stępień

roku 1784 zakładał piorunochron (drugi w Polsce) na ratuszu w Siedlcach. Starannie wykształcony w naukach ścisłych (fizyce, matematyce, kartografii), robił karierę w Warszawie przy dworze króla. Na probostwie międzyrzeckim dokonał żywota.

Również Grzegorz Piramowicz, sekretarz Komisji Edukacji Narodowej oraz Towarzystwa do Ksiąg Elementarnych, sztandarowa postać polskiego Oświecenia, umarł jako proboszcz międzyrzecki, którym był bezpośrednio przed Kukielem. Pochowany został w Kurowie.

W jednej ze swych prac zalecał nauczycielom: „Niech sprawią dobrymi sposobami, aby uczniowie lubili nauki i nauczyciela, aby się im stało rzeczą miłą iść do szkoły". Słów tych nie mógł znać żyjący przed Piramowiczem Jan Brożek, trzeci wybitny proboszcz międzyrzecki (z lat 1636—1647), ceniony polski matematyk tamtych czasów, który do naszych podręczników szkolnych wprowadził świeży wtedy wynalazek logarytmów, aczkolwiek trudził się głównie teorią wieloboków gwiaździstych. Umarł jako rektor Akademii Krakowskiej.

W 1824 roku uruchomiono boczny trakt bity: Lublin — Międzyrzec, ze stacjami pośrednimi w Lubartowie, Kocku i Radzyniu. Odtąd wzrosło znaczenie międzyrzeckiej stacji pocztowej, której budynek dotrwał zresztą naszych czasów przy ul. Warszawskiej jako jedna z okazalszych i dobrze zachowanych poczthalterii traktu.

„Odwiedzałem często w młodości mojej Międzyrzec. Był tam przed laty piękny pałac drewniany: w dużej sali — były portrety znaczniejszych monarchów i znakomitych ludzi z końca XVII wieku, szkoda, że zaginęły. Dziś pałac murowany, lecz w roku 1812 przez nieprzyjaciela złupiony, zbezczeszczony, później przez postoje do końca zniszczony, czeka wsparcia od właściciela" — pisał Julian Ursyn Niemcewicz o swej podróży przez Podlasie z 1828 roku.

Akurat wtedy Konstanty Czartoryski, właściciel klucza międzyrzeckiego, osiadł był na stałe pod Wiedniem i pałac nadal nie otrzymywał wsparcia. Dziś z pierwotnych rezydencji magnackich w Międzyrzecu nic właściwie nie zostało: z drewnianej — tylko zwyczajowa nazwa terenu (Zamczysko), w miejscu murowanej stoi sześcioboczna wieżyczka, prawdopodobnie z końca XIX wieku.

W roku 1844 dobra międzyrzeckie kupili August i Aleksandra Potoccy za milion złotych polskich. Wkrótce przystąpili do wznoszenia własnego pałacu i budynków gospodarczych (w pobliżu ruin rezydencji Czartoryskich). Nowe obiekty stanęły około roku 1852, projektował je Franciszek Maria Lanci, kolejny w Polsce architekt włoskiego pochodzenia.

Pałacyk Potockich, spalony w 1918 roku przez Niemców, zupełnej ruinacji uległ w czasie II wojny światowej. W 1948 roku gruntownie przebudowany, służy dziś jako dom dziecka. Z dokonań Lanciego lepiej zachowały się budynki stajni i czworaków, obecnie biura i mieszkania PGR. Wszystko to można obejrzeć na Nowym Mieście w otoczeniu resztek podworskiego parku.

Domy wokół rynku wywodzą się z połowy XIX wieku (niektóre mają genezę wcześniejszą). Pośrodku rynku — skwer miejski. W XVIII wieku był tutaj ratusz, który potem zapewne spłonął. Nowego nie zbudowano, chociaż już w roku 1845 Lanci wykonał projekt murowanego zespołu ratuszowego, gdzie przewidział również mieszkanie burmistrza, areszt, pomieszczenia wagi oraz kramy w skrzydłach. Inwestycję, zatwierdzoną przez komisję rządową, miał finansować zleceniodawca architekta, August Potocki, lecz poniechał ze względu na trudności proceduralne, jakie wynajdywali i stwarzali bogaci kupcy żydowscy z pomocą swych adwokatów. W kilkanaście lat później Żydzi zaproponowali, iż oni zbudują ratusz ze sklepami. Kramy powstały, ratusz — nie.

„W Międzyrzecu majętniejsi są Żydzi niż dziś w wielu miejscach w Polsce — pisał Niemcewicz już w 1828 roku. — Były to ich święta. Mężczyźni paradowali w jedwabnych łapserdakach, pończochach i trzewikach, kobiety w bogatych założkach; więcej one niż Żydówki warszawskie zachowały dawny swój strój".

Istnieje pogląd, że człowiek interesu nie lubi mieszkać zbyt blisko władzy... W każdym razie Międzyrzec, węzeł dróg bitych, a potem i stacja kolejowa, ośrodek dość szybko rosnący pod względem handlu, przemysłu oraz ludności, choć zaliczał się do największych na Podlasiu, nigdy nie był siedzibą gubernialnego powiatu.

Gdy się czyta rozmaite statystyki, dotyczące Międzyrzeca z końca XIX i początku XX wieku, widać, że w pewnym momencie miasto stanęło jakby u kresu przemysłowej potencji. Od 1880 roku ciągle powtarza się kilka garbarń i młynów parowych, fabryka mączki kostnej, fabryka zapałek, fabryka obsadek do piór stalowych, gorzelnia i rektyfikacja. Później doszła fabryka maszyn rolniczych Altera Szejmela.

Stosunkowo najlepiej rozwijają się firmy szczeciniarskie, z których Międzyrzec zasłynął. W 1880 roku było ich dwie, w 1910 — 32 (zatrudniały wtedy 760 robotników, trzy czwarte klasy robotniczej powiatu radzyńskiego), w 1930 — 174 (eksport oczyszczonej i posortowanej szczeciny sięgał paru milionów dolarów rocznie).

Choć wielki kapitalizm nie powstał w prowincjonalnym miasteczku, skala uprzemysłowienia stwarzała jednak charakterystyczne napięcia, wywoływała surowy drenaż rynku pracy z nieodłącznym bezrobociem, radykalizowała i polaryzowała międzyrzecką ulicę — podczas wydarzeń 1905—1907 roku, ale szczególnie w latach trzydziestych.

Pisze Albin Bobruk, międzyrzecki działacz KPP, świadek tamtych czasów: „Tłumy mieszkańców — szczeciniarzy, szwaczek, kuśnierzy, nauczycieli, uczniów, chasydów i kupców — maszerowały każdego dnia po pracy ulicą Lubelską, a w piątek wieczorem, w sobotę i niedzielę ciasno było tu i niezmiernie gwarno... To nie była już zwykła miejska arteria, ale najszerzej pojęta instytucja społeczna. Korzystali z niej wszyscy. Jedni dyskutowali tu o filmach, przeczytanych książkach i artykułach w prasie, inni znowu o interesach i pracy. Za grupą spierających się o poszczególne rozdziały „Kapitału" szła inna grupa, rozstrzygająca odwieczne prawdy zawarte w talmudzie. Ludzie kłaniali się nawzajem sobie, wymieniali spojrzenia, czynili mało dostrzegalne gesty lub pilnie obserwowali, kto w co jest ubrany i dlaczego tak źle lub dobrze dzisiaj wygląda. Tutaj w niekończącym się marszu odbywano narady różnych organizacji i posiedzenia naszych komórek, toczono zacięte spory na temat bieżącej polityki międzynarodowej, roli frontu ludowego w nadciągającej, zdawało się tuż, tuż, rewolucji".

Tymczasem nadciągnęła II wojna światowa...

(Fragment książki pt. „Traktem bitym przez Podlasie", która ukaże się w r.b. nakładem KAW w Lublinie)

Z ministrem o kulturze

TRZY godziny trwało spotkanie ministra Józefa Tejchmy z kierownikami lubelskich instytucji kulturalnych, prezesami stowarzyszeń twórczych i dziennikarzami, urządzone w podziemiach LDK, a więc na poziomie, na którym odbywają się słynne z wysokich obrotów giełdy płyt gramofonowych i tzw. sprzętu. Uczestnicy dyskusji z 8 lipca w jakimś stopniu uszanowali symbolikę miejsca, skupiając swoją uwagę na sprawach finansowo-materialnych, choć trzeba przyznać, że poruszane kwestie nie miały charakteru wiedzy sekretnej, jaką zwyczajowo artykułuje się w podziemiach. Co zresztą i przed kim należałoby ukrywać, skoro wiadomo, że techniczne wyposażenie i duch kultury to rzeczywistość bez reszty kształtowana przez wysiłek zbiorowy, a działania wyspecjalizowanych instytucji państwowych przynoszą doraźne tylko efekty, jeśli nie mają szerokiego wsparcia ze strony ruchów społecznych i resortów dalekich od tej sfery. „Często pomyślność kultury bardziej zależy od ministra finansów czy administracji, niż od ludzi na moim stanowisku", powiedział Józef Tejchma, my zaś znajdujemy potwierdzenie tej obserwacji na szczeblach niższych, wojewódzkich i gminnych, gdzie referent kultury jest kopciuchem do wszystkiego, nie posiadającym żadnego prawa do marzeń o królewiczu.

To przeświadczenie profiluje skład osobowy komponowanej właśnie Narodowej Rady Kultury, która ma krzyżować politykę państwową w tej dziedzinie z opinią samorządową. Do Rady wejdą zatem przedstawiciele wszystkich organizacji twórczych, społecznych, politycznych i młodzieżowych kraju, ministrowie kultury, oświaty, nauki, finansów, administracji, przewodniczący Komisji Planowania, prezesi PAN oraz „Polskiego Radia i Telewizji" oraz wybitne indywidualności — autorytety ze środowisk literackich, dziennikarskich i innych. „Chcemy uniknąć — zaakcentował minister Tejchma — warszawskiego, scentralizowanego składu personalnego Rady i zdominowania jej przez twórców, zapewniając odpowiednią liczbę miejsc dla działaczy kultury z terenu, dla animatorów stowarzyszeń regionalnych, które wykonują wiele pożytecznej roboty, lecz opinii społecznej są właściwie nieznane. Jest to jedna z dróg do tego, by Rada właściwie spełniała swoją rolę: polifonicznego, kontrowersyjnego i publicznego opiniowania sytuacji w kulturze. Naturalnie, stanowisko władz państwowych także będzie publikowane. W polityce kulturalnej w żadnym przypadku nie chcemy wracać do biurokracji, ale odżegnujemy się też od anarchii sprzed roku 1982, co nie znaczy, że nie dostrzegamy w wiadomym okresie trafnych myśli i idei, związanych na przykład z potrzebą demokracji".

Od siebie dodajmy, że takie ciała mogą funkcjonować efektywnie tylko w warunkach demokracji. Poważnie potraktowane, są one właściwie skutkiem demokratycznych stosunków społecznych, a nawet, w pewnym zakresie, rozwijają takie stosunki. Ich aktywność, jak i całej kultury, zależy także od poziomu stabilizacji ekonomicznej kraju, wyznaczającej określone perspektywy materialne, co oczywiste, ale i psychologiczne zbiorowości.

Jak wspomniano, podczas spotkania w LDK sprawy ekonomiczne stanęły w centrum dyskusji. „Pewnym optymizmem napawa fakt — stwierdził minister — że resort dysponuje obecnie kwotą znacznie wyższą od tego swojego budżetu, jaki na rok 1982

MAGIA ZIÓŁ

Dostępne na naszym rynku, bądź nadające się do uprawy na działkach czy balkonach, zioła kulinarne mają swoją historię i właściwości, o których warto wiedzieć, albowiem obyczaje i tradycje żywieniowe ewidentnie świadczą o kulturze społeczeństwa. „Życiorysy" popularnych roślin ziołowych publikujemy za pionierską na gruncie polskim książką Mariana Janusza Kawalki pt. „Historie ziołowe", która w roku 1983 ukaże się nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej w Lublinie.

(Red.)

Estragon

Marian Janusz Kawalko

JEST to aromatyczne zioło wieloletnie (bylina), o prostych, silnych łodygach, osiągających wzrost 60-120 cm. Kwiaty estragonu (Artemisia dracunculus L.) są zwykle zielonkawożółte. Podczas 2-3-letniego wzrostu zioło wytwarza liczne kłącza z drobnymi, włóknistymi korzeniami. W naszych warunkach klimatycznych rozmnażanie estragonu uprawowego odbywa się wyłącznie z sadzonek powstałych przez podział kłączy.

Za ojczyznę estragonu przyjmuje się tereny azjatyckiej części Związku Radzieckiego, przede wszystkim zaś brzegi rzek syberyjskich — aż po Morze Ochockie. Do Europy zawleczony został prawdopodobnie podczas wojen krzyżowych. Ale zdaje się, że dopiero wiek XV awansował zioło do roli zacnej przyprawy francuskiej. Jan de la Ruelle (1474-1537), kanonik, lekarz Franciszka I i weterynarz w jednej osobie, przekazał istotną wiadomość, jakoby świeżych liści estragonu używano naonczas do aromatyzowania surówek ziołowych oraz „wielu innych potraw". Musiała ta wskazówka dotrzeć także do uszu kuchmistrzów niemieckich, ci zaś nie tylko zaczęli ją powtarzać w niektórych publikacjach kulinarnych, lecz wprowadzali też receptury własnego pomysłu (np. sos na osnowie siekanego estragonu, tłuczonego z chlebem, gałką muszkatołową, cukrem i octem winnym, przecieranym przez płótno).

Gdybyśmy przewertowali parę wartościowych książek kucharskich z XVIII-XIX stulecia, wydanych nad Renem, Tamizą i Sekwaną, to estragon jawi się tam nieoczekiwanie jako dosyć znana przyprawa:

— duszonych ozorów wołowych (ozory krojono w kostki, przekładano warstwami farszu z szalotek, sardeli, miękiszu chlebowego, masła, jaj, pietruszki, cebuli i estragonu, a następnie całość podgrzewano w półmisku do czasu, gdy warstwa nadzianki na dnie naczynia lekko się zrumieniła);

— roztworu z wytrawnego wina, piwa, octu i wody, w którym duszono — podsmażone wcześniej — ozory (roztwór aromatyzowano pęczkiem ziół: bieżeńca, estragonu, tymianku, bazylii, cząbru, majeranku, szałwi i mięty pokojowej);

— gotowanej w wodzie głowizny cielęcej (przyprawy wywaru: estragon, pieprz czarny i kajeński oraz sól);

— nadziewki do kurcząt na rożnie („obgotuj przez pół kwadransa dobrą garść estragonu, przełóż w zimną wodę, usiekaj wycisnąwszy; usiekaj wątróbki, przydaj masła, część estragonu siekanego, soli, pieprzu, włóż to nadzienie w środek kurcząt"; pozostałą część estragonu należało dodać do odrębnie przygotowanego sosu);

— sosu, sporządzanego na podstawie wywaru z mięsa wołowego (estragon, majeranek, tymianek i cząber wiązano w pęczek, a dopiero wówczas wkładano do wywaru; po wygotowaniu się substancji smakowo-zapachowo-barwnikowych wiązkę ziół usuwano);

— różnych farszów z mięsa wołowego i drobiowego;

— octu ziołowego;

— ogórków konserwowych.

Powyższy, niekompletny przecież, zestaw potraw aromatyzowanych zielem estragonu należałoby dla porządku uzupełnić jeszcze przepisami pochodzącymi z naszych XIX-wiecznych podręczników kulinarnych. Ich autorzy wymieniali zioło głównie jako ingrediencję dodawaną do wspomnianego już octu estragonowego, ruskiej zupy rybnej (uchy), chłodnika ruskiego, pasztetu drobiowego i niektórych sosów gorących.

Warto przypomnieć, iż ocet estragonowy otrzymywano, mocząc listki w dobrze zaoctowanym winie przez 2-3 dni. Tak otrzymana przyprawa stanowiła podówczas interesujący element smakowo-zapachowy sosu czosnkowego, kaparowego, sztuki mięsa oraz galaretującego wywaru z mięsa, i sałatek.

Należy wyjaśnić, że solony estragon był — również u nas — częstym składnikiem zapasów spiżarnianych. Jan Szyttler, autor między innymi „Spiżarni dostatecznie i przezornie urządzonej dla dogodnego użytku miejskich i wiejskich skrzętnych gospodyń..." (Wilno 1841), przytoczył był następujący sposób konserwowania tej rośliny: „Latcie

Rys. Maria Tyzenhaus

estragonowe zrywają się zielone z łodygi, wkładają się w gliniane polewane lub kamienne słoje, przesypują się miałką przesianą solą, a gdy się już nimi napełnią, przykładają się ciężarem, iżby sól przetrawiła moc rośliny. Po niejakim czasie, gdy estragon w słojach osiądzie, należy je znowu dopełnić tymże sposobem, a gdy już nie będzie więcej osiadać i sok na wierzchu się okaże, obwiązać słój pęcherzem, a zimą używać w potrzebie".

Do wyrobu octu estragonowego stosowano natomiast susz ziołowy.

Zainteresowanie estragonem, zarówno w ojczyźnie szampana jak i na Wschodzie, przez wieki bynajmniej nie zmalało, zaś kanony kuchni francuskiej nadal budzą szacunek u mieszkańców środkowej i południowej Europy. Estragon — to przyprawa licznych dań i dodatków, jak:

— omlet z zieleniną (do posypywania omletu po jego usmażeniu służą posiekane i zmieszane razem ogrodowizny: trybula ogrodowa, koper, estragon, nać pietruszki, liść pora);

— marchewka z estragonem (ziele dodawać należy do jarzyny, gdy już jest prawie uduszona);

— makrele duszone w sosie pomidorowym (suszony estragon — jako przyprawa do sosu);

— jajecznica na zimno z majonezem, posypana posiekanymi listkami zioła;

— kura pieczona — nadziewana zielonym estragonem.

Współczesne paryskie kompendium wiedzy gastronomicznej — „Noveau Larousse Gastronomique" (1967) — podaje między innymi przepisy dotyczące utrwalania ziela estragonowego, prawie nieznane w naszym kraju:

— *conserve d'estragon* (konserwa z estragonu) — to pasteryzowane w hermetycznych butelkach świeże łodyżki rośliny, poddanej uprzednio zblanszowaniu; tak przygotowane ziele można przechowywać przez długi czas bez pogorszenia jego cech organoleptycznych;

— utrwalenie przyprawy w occie (*conserve d'estragon au vinaigre*) polega na zalaniu octem małych gałązek w niewielkich butelkach i szczelnym ich zamknięciu; po wyjęciu z octu można je dodawać do mało wyrazistych zup oraz sosów — należy się jednak liczyć ze zmianą oryginalnego smaku i zapachu estragonu.

Estragon można również suszyć w cienistym, przewiewnym miejscu, przy czym do tego celu nadają się młode, dobrze ulistnione pędy ścinane przed kwitnieniem. Taka przyprawa charakteryzuje się jednak słabszym aromatem.

Omawiana roślina, zarówno w stanie świeżym jak i ususzonym, zaczyna być ponownie modna na Węgrzech. Dostała się ona tam przed kilkoma wiekami z Siedmiogrodu. Obecnie Madziarzy stosują ją podobnie jak nać pietruszki: do zup, drobiu, potraw rybnych, mięsa z dziczyzny oraz baraniny, bigosu z fasolki szparagowej, groszku i ziemniaków. Młody estragon dodaje się ponadto do warzyw konserwowanych w zalewie octowej (ogórki, cebula), celem zachowania ich jędrności. Podobną rolę pełni on w kwaszonych ogórkach i papryce.

Zajrzyjmy jeszcze na chwilę do narodowej kuchni rosyjskiej, gdzie maksyma: „Jeśli nie dodajesz ziół do potraw — nie będziesz zdrów", stanowi motto codziennego odżywiania. Estragon używany jest tam przeważnie, choć nie wyłącznie, w formie suszu. Na pierwsze danie Rosjanie proponują okroszkę, czyli chłodnik na dobrym chlebowym kwasie. Głównymi komponentami tej zupy są rozdrobnione warzywa oraz przyprawy zielone (przede wszystkim szczypior, a nadto koper, nać pietruszki, trybula ogrodowa, liść selera, ziele estragonu). Staroruska tradycja nakazywała ongiś dodawać co lepsze kąski z prosiaka, indyka oraz cietrzewia; współczesna okroszka domowa nie gardzi nawet kiełbasą.

Estragon (części nadziemne) ma ponadto znaczenie medyczno-dietetyczne. Stwierdzono, że ziele ma znaczenie ogólne wzmacniające (tonizujące), ponieważ zwiększa wchłanianie składników odżywczych w przewodzie pokarmowym, nie powodując przy tym podrażnienia błon śluzowych żołądka i jelit. Znane jest także słabe działanie przeciw zapalne, antyseptyczne, przeciwszkorbutowe i przeciwskurczowe. Herbata z suszu estragonowego działa żółciopędnie i poprawia apetyt.

Jako przyprawę leczniczą zaleca się stosować zioło szczególnie w dietach z ograniczeniem soli (choroby nerek). Należy jednak dodawać je z umiarem, by nie zagłuszyło właściwego smaku potrawy. Zauważmy, a jest to refleksja ogólniejsza, iż dietetyka polska unika stosowania ziół kulinarnych. Taka tendencja nie wydaje się słuszna, tym bardziej że w przypadku wielu dolegliwości odpowiednio dobrane i użyte w diecie rośliny zielarskie mogą wzmocnić jej efekt terapeutyczny.

uchwalił Sejm. Duże nadzieje wiąże się z Funduszem Rozwoju Kultury, dostrzegając przecież potencjalne niebezpieczeństwo inwazji na ten portfel przez instytucje i przedsiębiorstwa, które zdążą wyczerpać własne środki budżetowe na kulturę. To źródło samowiedzy narodowej musi być nadal pielęgnowane przez różnych mecenasów! Przyjmujemy zasadę: więcej środków otrzymają ci, którzy lepiej pracują; nie wzruszą nas tarapaty gospodarcze teatru, spowodowane niskim poziomem artystycznym sceny... Reforma gospodarcza, interpretowana pod określonym kątem, stała się pretekstem ograniczenia działalności kulturalnej w zakładach pracy, ale to się musi zmienić. Być może powróci się do idei ulg podatkowych dla przedsiębiorstw, które zechcą rozwijać kulturę na własnym terenie".

Strona lubelska spotkania wyjątkowo skwapliwie podjęła wątek ekonomiki kultury ,co zrozumiałe, niemal zupełnym milczeniem pokrywając sferę aksjologiczną, co jakby smutne. Ulegając sugestii wicewojewody Stanisława Masłosza ,nie poruszono także problemów konserwacji i ochrony zabytków, które — według informacji władz — już wcześniej zostały przedstawione ministrowi, z wyeksponowaniem węzełków gordyjskich lubelskiego Starego Miasta i Kazimierza Dolnego — obok takich spraw, jak dalsze losy budowy gmachu teatru i filharmonii (czy wejdzie do planu centralnego?) i ewentualnie przejęcie przez państwo ośrodka kultury w Puławach, budowli tyle okazałej, co w utrzymaniu kosztownej (20-30 mln. zł rocznie), „spychanej" właśnie przez prawowitego gospodarza, czyli Zakłady Azotowe, słynne kiedyś w Polsce z urządzenia Sympozjum Artystów Plastyków i Naukowców. Tymczasem odsyłam więc zainteresowanych zabytkami do ogłoszenia władz katowickich, które ukazało się w „Życiu Warszawy" z 27 maja.

Nie ulega przecież kwestii, że w podziemiach LDK mówiono o sprawach ważnych, z reguły o tych, które nękają naszą kulturę. Na złe warunki bytu i twórczości środowiska plastycznego zwrócił uwagę prezes lubelskiego ZPAP, ujmując to wszystko w tonacji Sturm und Drang i w perspektywie zakłopotania o los kultury narodowej w ogóle. Ostro natarłszy na władzę, spotkał się prezes z ostrą repliką tejże, zmuszając do łagodnej polemiki także i niżej podpisanego. Szefowie poszczególnych placówek kulturalnych spokojniej artykułowali podnoszone problemy, prosząc, postulując, proponując, choć i nie zaniedbując okazji, by wskazać na pewne aktywa działalności kierowanych przez siebie firm (bardzo dobra frekwencja w operetce i w kinach, dokąd zwabiają obrazy w rodzaju „Wejście smoka", 15-procentowa rentowność i niezły poziom produkcji drukarni przy braku części do maszyn, kartonu, kompletnej załogi). Za przewlekłą chorobę lubelskiej kultury zebrani uznali, setny raz z rzędu, niedostateczną i trzeszczącą ze starości bazę lokalową: biblioteki wojewódzkiej, teatru i filharmonii oraz operetki, która od początku istnienia występuje w roli permanentnego sublokatora. Wskazywano też na groźne społecznie skutki gwałtownego wzrostu cen książek, beznadziejnie niskie honoraria dyrygentów (3200 zł za tydzień prób i dwa koncerty) i także uposażenie niektórych grup pracowników teatru. Uzasadniono celowość utworzenia w Lublinie filii warszawskiej Akademii Muzycznej, jako że wykonawców tego rodzaju sztuki ciągle brakuje, a miasto posiada stosowne tradycje i pewne możliwości utrzymania takiej szkoły. Zgadzano się, że samorząd w instytucjach artystycznych należy ograniczyć do spraw socjalnych i tym podobnych, problematykę twórczości pozostawiając w rękach wybitnych indywidualności, co zresztą okazało się zgodne z intencjami resortu.

Minister Tejchma notował i odpowiadał, stwierdzając m.in. jednoznacznie, że kultura nie może być wyłączona z ekonomii, lecz musi uwolnić się spod jej presji, jako że w grę wchodzą wartości estetyczne, niewymierne. Polityka państwa zmierza do ochrony tej ważnej płaszczyzny życia społecznego przed komercjalizacją, uruchamiając np. mechanizm cen interwencyjnych wobec dzieł adresowanych do dzieci i młodzieży.

„A Lublin — zaakcentował minister — powinien stać się silnym ośrodkiem kultury".

Od kogo i czego to zależy? **IJK**

Burzliwe życie Stana Borysa

Od siedmiu lat, to znaczy od momentu wyjazdu za Ocean, wiemy o nim niewiele. W Waszyngtonie i Nowym Jorku próbował śpiewać, szukał poparcia i pomocy u Bobby'ego Vintona, ponoć nagrał solowy longplay. Wszystko to jednak wieści niesprawdzone, bo Stan Borys nie „wskoczył", mimo wcześniejszych zamiarów, w wir show biznesu. Nie zrobił olśniewającej kariery i chyba nigdy takiej nie zrobi. Jeśli jeszcze śpiewa, a to nie jest pewne, porusza się zapewne w kręgach klubów nocnych, będących mniejszymi lub większymi knajpami z alkoholem i dancingiem. Ameryka mami wielu artystów, ale konfrontacja marzenia z rzeczywistością bywa często bolesna. Podejrzewam, iż dla Stana Borysa również.

Należy pamiętać o barierach stawianych każdemu cudzoziemcowi przez amerykański związek zawodowy muzyków. Przebić mogą się tam tylko najwybitniejsi, którzy wykażą się talentem, systematycznością w pracy, finansowym wsparciem producenta i ogromną cierpliwością. Tej, niestety, Borysowi zawsze brakowało. Przynajmniej na rodzimej scenie muzycznej.

Życie równie niezwykłego, co kontrowersyjnego wokalisty było nadzwyczaj burzliwe. Imał się różnych zawodów, próbował startować z różnych pozycji, nie zawsze przekonany do końca o możliwości osiągnięcia zadowalającego go celu. Długi czas „terminował", nim osiągnął upragniony sukces. Ambitny, mocował się nieustannie z przeciwnościami i wciąż odnosił wrażenie stwarzanych mu sztucznie barier. Zmuszony chodzić okrężnymi drogami, Borys często buntował się. Jak stwierdził przed laty jeden z publicystów, buntownicza natura piosenkarza narażała go na kolizję z ustalonymi układami, przez co musiał płacić „mandaty" w postaci gorzkich rozczarowań, poczucia osamotnienia i wyobcowania z estradowej społeczności.

Borys był dużą indywidualnością,a wszystko, co osiągnął, zawdzięczał tylko sobie. Był utalentowanym samouklem, który do sukcesu dochodził wytężoną pracą. Wychowany w twardych warunkach Bieszczadów, nie bał się ryzyka. Uczył się w Technikum Budowlanym i Mieczarskim, próbował grać na skrzypcach i klarnecie, pracował jako górnik i budowlaniec, był melioratorem, drwalem, zakładaczem piorunochronów i palaczem węgla drzewnego, zegarmistrzem i gońcem. Kiedy trafił do Rzeszowa, poświęcił się bez reszty poezji. Dużo czytał i uczył się interpretacji ulubionych wierszy. Sam zresztą pisał niezłe wiersze. Właśnie z jego inicjatywy powstał w Rzeszowie teatr poezji „Symbol". Doskonała dykcja pozwoliła przyszłemu wokaliście występować z powodzeniem w dwu ogólnopolskich konkursach recytatorskich. Potem przyszła fascynacja teatrem, gdzie był rekwizytorem i statystą. Z teatru z kolei przerzucił się na muzykę rozrywkową i w niej odkrył siebie. Śpiewał w Wojewódzkim Domu Kultury rock and rollowe kawałki i marzył o lepszych czasach.

Przełomem w życiu Stanisława Guzka (bo tak nazywał się naprawdę) było poznanie równie jak on młodego gitarzysty Tadeusza Nalepy. Wspólnie stworzyli doskonałą, jak się okazało, grupę muzyczną Blackout, w której niebagatelną rolę spełniał poeta Bogdan Loebl — niebawem idol tzw. protest songów i autor wszystkich szlagierów kapeli. Blackout z wokalistami Tadeuszem Nalepą, Stanisławem Guzkiem i Mirą Kubasińską został laureatem I Wiosennego Festiwalu Muzyki Nastolatków. W ciągu 3-letniej działalności zdążył wylansować szereg doskonałych brzmieniowo i artystycznie songów. Wspomnijmy choćby sławną „Annę", „Te bomby lecą na nasz dom", „Wyspę", „Pozwólcie nam żyć", „Gdzie chcesz iść" „Jej nie ma tu", „Koło Birezy". Sukcesy były w dużej mierze zasługą Guzka. W 1967 roku Blackout nagrał swój pierwszy longplay i był to właściwie jego finał, bo z początkiem 1968 roku grupa przestała istnieć.

Tadeusz Nalepa, namówiony przez animatora polskiego beatu i twórcę pierwszych dyskotek Franciszka Walickiego, zainteresował się „muzyką podziemia" i stworzył grającą z angielska formację Breakout. Natomiast nasz bohater został solistą. Zmienił twarz i nazwisko. Zapuścił włosy, brodę i przyjął dziwne pseudo STAN BORYS. Nawiązał też, z pomocą prezentera telewizyjnego i krytyka Lecha Terpiłowskiego, kontakt ze Zbigniewem Bizoniem, organistą i saksofonistą, organizatorem nowego zespołu Bizony. Z nimi to przyszło Borysowi święcić największe triumfy. Odmieniony teraz stylistycznie i brzmieniowo, śpiewał Stan silnym, rzec można brawurowym głosem dramatyczne piosenki, naśladujące wielkiego rywala estradowego — Czesława Niemena. Sukcesy miał znaczące — Srebrny Kormoran na Ogólnopolskim Przeglądzie Zespołów Estradowych w Olsztynie (1968), nagroda prasy na festiwalu piosenki Opole 68 za utwór Loranca i Kofty „To ziemia", nagroda Brązowego Gronostaja na Międzynarodowym Festiwalu Varietees w Rennes (1971), nagroda prasy na Young Europan Song Festival w Ostendzie (1972), Złoty Apollin na Olimpiadzie Piosenki w Atenach (1972), Złota Płyta za pierwszy longplay, nagroda dziennikarzy za wykonanie rewelacyjnej „Jaskółki uwięzionej" na festiwalu Opole 73, Bursztynowy Słowik na Międzynarodowym Festiwalu Piosenki Sopot 73 oraz dwie główne nagrody w Międzynarodowym Konkursie Piosenki w Castlebar (Irlandia) i specjalne wyróżnienie na festiwalu Onda Neuva w Caracas.

Nagrodami zdobytymi przez Borysa obdzielić by można kilku solistów. Borys coraz lepiej śpiewał, osiągając maestrię w operowaniu krzykiem. Jego bardzo ambitny repertuar wymagał dużej wrażliwości, nienagannej dykcji, dobrego wyczucia frazy i dramatycznej, niemalże aktorskiej interpretacji. Wszystkie te wymogi spełniał Stan Borys bez zastrzeżeń. Wrodzony pęd ku coraz wyższym celom nie pozwolił mu na długą pracę z Bizonami. Po dwóch, trzeba przyznać, owocnych latach rozstał się z nimi, by spróbować jeszcze innej drogi. Nawiązał wtedy współpracę z cenionymi kompozytorami: Adamem Sławińskim, Januszem Kępskim, Markiem Sewenem, Wojciechem Trzcińskim, Piotrem Figlem. Do ich muzyki pisał sam teksty piosenek.

W pełni dojrzałym, solowym dziełem wokalisty była płyta „Krzyczę przez sen". Życzliwe przyjęcie krytyków i koneserów, choć album nie był wcale najłatwiejszy w odbiorze, zmobilizowało Borysa do nagrania drugiego, solowego dysku „Szukam przyjaciela" z tak wspaniałymi perełkami sztuki wokalnej jak „Jaskółka uwięziona", „Szukam przyjaciela", „Poezja" i „Wierzę drzewom". Ekspresja i dramatyzm wykonania mieszały się tu z liryką. Na fali dużego zainteresowania udanymi dokonaniami wziął jeszcze udział w realizacji płytowej oratorium Katarzyny Gaertner i Ernesta Brylla „Srebrne dzwony", a także przyjął zaproszenie Czechów i zarejestrował w praskim studiu „Supraphonu" solowy album.

Fonografia nie dawała mu jednak tego zadowolenia, jakie zamierzał znaleźć na scenie. To zaś trudno było osiągnąć w pojedynkę, bez własnego zespołu i grona stałych kompozytorów. Borys natomiast pracował zrywami. Czując się coraz bardziej samotny i zagubiony, szukał innych rozwiązań i form artystycznej wypowiedzi. W tym poszukiwaniu śpiewał nawet z Maryla Rodowicz („Dziś prawdziwych Cyganów już nie ma"). Występował w operze rockowej NAGA, przygotowanej i zrealizowanej przez Niebiesko-Czarnych. Ale i te próby nie przyniosły oczekiwanej satysfakcji. Borys, dysponujący wspaniałym aparatem głosowym, świetną dykcją i umiejętnością aktorskiej interpretacji, coraz bardziej oddalał się od podziwiających go słuchaczy. Schodził na dalszy plan życia estradowego, które samorzutnie ruguje jednych, a wynosi na szczyty sławy innych, aktualnie bardziej aktywnych, pomysłowych, energicznych.

Fot. L. Pempel

Blask piosenkarskiej kariery Borysa przygasał. Rozumiał to doskonale, marząc o nowych, zupełnie innych od dotychczasowych przedsięwzięciach. Chciał być na przykład solistą teatru muzycznego. Cóż kiedy nikt nie złożył mu takiej oferty. Przybity zwątpieniami, postawił wszystko na jedną kartę i w grudniu 1975 r. odleciał do Waszyngtonu by tam spróbować szczęścia w nowej roli. Liczył na reinkarnację artystyczną, na doping środowiska, przychylność fortuny i własne zdolności. Był prawie pewien możliwości „przebicia się", tym bardziej, że ten i ów obiecywał pomoc. Jak dotąd, marzenia o wielkiej karierze nie spełniły się. Stan Borys w dalszym ciągu przebywa w USA.

Istvan Grabowski

WYNIKI KONKURSU

Na nasz konkurs pt. „Kto wygra Espana '82?" wpłynęły 293 odpowiedzi. Niestety, żadna z nich nie jest poprawna. Nikomu nie udało się odgadnąć trzech pierwszych drużyn Mundialu (niezależnie nawet od ich kolejności). Tylko na 11 kuponach trafnie umieszczono w pierwszej trójce — dwie drużyny (RFN i Polskę), aczkolwiek nie zawsze w kolejności zgodnej z faktyczną. Pośród autorów tych odpowiedzi wylosowaliśmy pięć piłek. Oto lista nagrodzonych:

Andrzej Bichta, Puławy, ul. Wróblewskiego 13 m 33; Bożena Łukowiec, Chełm, ul. Miernicza 1a; Jacek Pogorzelski, Lublin ul. Sucha 12 m 8; Bożena Rycerz, Rzepin (woj. gorzowskie), ul. Aleja Wolności 10b m 6; Zbigniew Wawer, Lublin, ul. Samsonowicza 3 m 21.

Nagrody wyślemy pocztą. Dziękujemy za wspólną zabawę!

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.
Redaguje Marek Adam Jaworski z zespołem.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 13—16.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4. PL ISSN. 0137-7108. Nr indeksu 36251. Adres redakcji: 20-029 Lublin ul. Skłodowskiej 2/1.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin I, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.
Zam. 1110. 24.VII.1982 r. R-4.

Barbara Radziwiłłówna

Zbigniew Kuchowicz

Fragmenty

Nierychło rozstał się z jej szczątkami. Dwa tygodnie stała trumna Barbary w wawelskich komnatach, co dzień odprawiano przy niej msze i modły, co dzień król długie godziny spędzał przy katafalku, trawiąc je w bólu i płaczu. 25 maja, w poniedziałek, nastąpiło przeniesienie ciała z zamku do katedry krakowskiej.

W świątyni odbyły się solenne egzekwie za duszę zmarłej, celebrowane przez dwóch biskupów i liczny kler. Po długich, z pompą odprawionych uroczystościach, trumnę włożono do karety, jak wtedy mówiono kolebki, i wieczorem tegoż dnia wywieziono z Krakowa. [...]

Królowej w ostatniej drodze towarzyszyło kilku koronnych dygnitarzy, grono dworzan oraz pań dworskich ze swymi świtami. [...]

Pogrzeb Barbary stanowi odbicie różnych postaw, złożoności życia. Można przedstawiać go w rozmaitych aspektach: z jednej strony zbolałego, nagle postarzałego Augusta, z drugiej strony obojętnych, nie zamierzających rezygnować z wygód życiowych dworzan, z trzeciej wreszcie — wrogów

Barbary, wydziwiających na okazywane jej cieniom hołdy. Miłość, obojętność i nienawiść szły obok jej trumny. Nim przypomnimy wzruszające reakcje Augusta, należy kilka słów powiedzieć jednak o tych zwyczajnych, życiowych sprawach, które swą przyziemnością nawet rażą, lecz niestety towarzyszą żegnaniu nawet najukochańszych zmarłych.

Długa podróż wymagała zabezpieczenia ciała, przed rozkładem, nie znany szerzej jest fakt, że w tym celu szczątki Barbary zalano wapnem. (Resztki wapna znaleziono w trumie, gdy prawie po czterystu latach odkryto grób.) Dworzanie królewscy otrzymali specjalne sumy na zakup stosownego do uroczystości pogrzebowych czarnego sukna. Przeglądając rachunki dworskie z okresu, gdy odprowadzano królową, można stwierdzić, iż tryb życia dworaków nie uległ zmianie, znaczne sumy wydawano na korzenie, aromaty, wina. Wszystkie wydatki były skrupulatnie notowane. Razem wydano na wywiezienie ciała, pogrzeb, żałobę znaczną na owe czasy sumę 9416 florenów.

Baczono także, by nic nie zagrażało uczestnikom konduktu. Zygmunt August przed wyruszeniem w drogę zasięgnął rady swego nadwornego astronoma, Proboszczewicza, który wyczytał w gwiazdach, że król powinien w drodze, a szczególnie gdy będzie w Brześciu, strzec się ognia. A ponieważ pod strażą Mikołaja Czarnego przebywała w Brześciu czarownica królowej Bony. August w obawie, by swymi praktykami nie przeszkodziła w pogrzebie, polecił Radziwiłłowi odesłać ją do Dubinek, odkładając wykonanie wyroku do swego przyjazdu do Wilna.

Należy dodać, że pogrzeb przypadł na ciężki, zły rok. Kronikarz zapisał: „Tego roku był głód wielki i siła ludzi od głodu pomarło". To lakoniczne stwierdzenie prawdopodobnie z trudem trafia do świadomości dzisiejszego czytelnika. Dziś trudno bowiem nam pojąć grozę tych strasznych, głodowych lat, podczas których spotykało się ponure, dantejskie sceny upodlenia, nędzy, i śmierci towarzyszące losowi tłumów. Pogrzeb Barbary, który w dodatku miał miejsce na przednówku, nie mógł wzruszyć głodujących mas. Śmierć kosiła ich wtedy tak gęsto, że jeszcze jedna trumna, aczkolwiek królewska, nie stanowiła czegoś niezwykłego. Uprzytomniała im tylko głoszoną wtedy maksymę, że śmierć jednakowo ścina chłopów i królów. Najprawdopodobniej zazdrościli dostatku, jakim opływał mijający ich orszak. Ci strojni, syci, rozparci w karetach ludzie stanowili dla biedaków istoty z innego świata. Nie wiem, czy ich podziwiali, czy nienawidzili, w każdym bądź razie źródła nic nie mówią, by okazywali żal z powodu śmierci królowej.

Setki kilometrów musiał przebyć żałobny kondukt. Minął prawie miesiąc, nim osiągnął litewską stolicę. Karetę, z umieszczoną w niej trumną, ciągnęły konie czarnej maści; gdy ustawały znużone, zmieniano je na inne lub kupowano nowe za każdą cenę. Za trumną jechał konno, czarno ubrany, złamany bólem i nieszczęściem król. W każdym mieście i miasteczku, w każdej wsi zsiadał z rumaka i szedł pieszo za karetą wiozącą szczątki Barbary. W słońcu czy deszczu brnął przez pył lub błoto wsi i miast, szedł nie jak pyszny władca, lecz zrozpaczony, przybity bólem człowiek. Nie

krył, nie maskował swej żałoby przed oczami poddanych. Może pierwszy raz w swym życiu poczuł więź z szarym, głodującym człowiekiem, z którym los zrównał go w obliczu śmierci. Bez wątpienia nurtowały go różne uczucia, może zdał sobie sprawę, że człowiek nie może żyć tylko miłością i wyrzec się prawa zachowania własnego życia, może w tych momentach uprzytomnił sobie swe obowiązki wobec państwa. Wiele wskazuje na to, że po tym pogrzebie stał się innym człowiekiem, iż przeżycia majowych i czerwcowych dni stanowiły dlań decydujący wstrząs. Jest pewne, że równocześnie wracał do wspomnień, do wspólnych przeżyć. Idąc za martwą, wapnem zalaną Barbarą, myślał o żywej, darzącej go rozkoszą i szczęściem. Kazał tedy zatrzymywać kondukt w miejscowościach, gdzie przebywał i kochał się z Barbarą, jakby pragnąc cofnąć czas, powrócić do tych chwil. A może wierzył, że tak właśnie chciałaby ona?

Król na każdym kroku okazywał dowody delikatności uczuć. Sprzeciwiał się na przykład, by duchowieństwo z biskupami witało go dawnym zwyczajem w polu, przed bramami Wilna. Uważał, iż w tych okolicznościach jest niestosowne przyjmowanie takich dowodów czci, polecił, by witano go dopiero u bram katedry. Godził się jednak, że po drodze, już kilkadziesiąt mil od Wilna, w Rudnikach, Mostach, Ołkienikach spotykali go panowie litewscy, którzy następnie towarzyszyli konduktowi. Wiózł tedy swą Barbarę w tłumie wielmożów, dworzan i żołnierzy, wprowadził ją do Wilna jak prawdziwą wielką księżnę i królową.

W. Ł. (cdn.)

Taniec nad przepaścią

Fragmenty książki Karola Zbyszewskiego pt. „Niemcewicz od przodu i tyłu".

Biskup-stryjek-wariat umarł, Sołtyk wraca galopem do kraju ratować schedę, Niemcewicz z miasta 6000 podrzutków jedzie sam dalej.

Bolonia, Florencja — nie daruje żadnemu kościołowi, muzeum, posągowi...

Rzym! Nie otrzepawszy się z kurzu, prosto z powozu do katedry św. Piotra pędzi. Potem systematycznie, piechotą wszystko obchodzi, ogląda, notuje. Co dzień gdzieś odpust; żeby czasu nie tracić, móc asystować tym podniosłym uroczystościom — Niemcewicz nie zawiązuje romansu, wpada tylko, gdy go bardzo przypili, do domów publicznych. Pieniędzy też mu szkoda, wie, że bezpłatna dama zawsze najdrożej kosztuje.

Capitol, Coloseum, w noc księżycową rozmyślanie...

W sierpniu do Neapolu. Lazzaroni leżą pokoiem do góry brzuchem. Anglik Riddel wciąga Niemcewicza na Wezuwiusz; wprowadza go do lorda Tilney-zacnego pederasty! przedstawia parze królewskiej.

Widzi burzenie się krwi św. Januarego, wierzy w cud bez zastrzeżeń.

Z dwoma Anglikami (Riddelem i Cunninghamem) serdecznymi przyjaciółmi, choć nie umie słowa po angielsku, oni po francusku tak, że z trudem porozumiewają się po włosku — jedzie do Palermo. Kwarantanna na morzu, główna zabawa z kanonika, co wstydzi się intymnej czynności, którą trzeba publicznie, na pokładzie... pilnują go, znosi biedak męczarnie.

W głąb Sycylii ruszają na mułach. Gospody jeszcze brudniejsze niż w Polsce, ludność — sami złodzieje. Za to w najgorszej mieścinie jest doskonały teatr. Kupują lożę, zabita deskami, wyłamują, całe miasto zdumione, najstarsi ludzie nie pamiętają, by kto kupił lożę.

Gramolenie się na Etnę, w Katanii najmują felukę, objeżdżają Sycylię wokoło. Syrakuzy. Piją zdrowie Archimedesa, Agatoklesa, pijaniuteńcy; Anglicy się kąpią, Niemcewicz przerażony, nie umie pływać, włazi jednak też do wody po raz pierwszy w życiu.

Na Maltę. Wielki strach, bo pełno korsarzy grasuje, co zobaczą żagiel w oddali — do zatoki uciekają; docierają szczęśliwie.

Kawalerowie maltańscy bogate, bezżenne tłuściochy, nic nie robią — żrą bez pamięci, klepią w karty. Dwa razy do roku urządzają wyprawy na pogan, łapią paru umierających murzynów, wracają z tryumfem.

Dzięki listom polecającym Niemcewicza dobrze przyjęci, u samego wielkiego mistrza fasek bywają,12 dni rozkoszują się wyspą.

Messyna tylko co po trzęsieniu ziemi, to się im

udało dobrze trafić! domy rozwalone, wszystko zniszczone — bardzo ciekawe; włażą na Stromboli.

Niemcewicz kleci wiersze. Wulkany, lazur morza, przepych natury — niestosowne dlań podniety; banalnie, szablonowo, a la Kochanowski, opisuje swą miłość do urojonej dziewicy...

Listopad w Neapolu. Spotyka przyjaciela — Józefa Szymanowskiego, razem spędzają karnawał w Rzymie. Dużo Polaków, trzeba się bronić od pożyczek, bale, maskarady, powszechna wesołość i obłapka. Niejeden kardynał ma kochankę, ale zgorszenia unikano tak starannie, że w teatrze zamiast kobiet-aktorek występują rzezańcy.

Zwolna, ośliimi zaprzęgami, zwiedzając co się da po drodze przez Ankonę, Mediolan, Turyn, telepie się Niemcewicz na północ. Maj 85-go roku zastaje go we Francji.

Dyliżans — cudowny środek lokomocji! Pełno pasażerów, przyjemna gawędka, zysk pożytecznych wiadomości.

Paryż — Mekka, wyrocznia Polaków. Grafoman Bielawski, Dubois — dawny belfer od kadetów wprowadzają go tu i ówdzie. U pani Beauharnais obiady literackie, póki coś na półmiskach — głucha cisza, dopiero gdy puste — poeci komplementa sobie prawią. Barnardin de St. Pierre, Buffon, Marmontel — patrzy z respektem na te zmurszałe sławy.

W Wersalu widzi Ludwika XVI-go na mszy św., śpi cały czas, podczas nieszporów również. Tłum szepce wzruszony: — król ziewa, król wyciera nos, król chrapie...

— Poczciwy naród, jakżeż kocha swego władcę! — admiruje Niemcewicz.

Pielgrzymuje do grobu Rousseau, nie lubi jego

mdłego sentymentalizmu, lecz imponuje mu jego rozgłos.

Oblazi Paryż, żałuje sobie na dobry obiad i dobrą dziewczynę,ale sztychy królów polskich kupuje; Sobieskiego wszędzie najwięcej. Podarował potem całą kolekcję księżnej Izabelli.

Po pięciomiesięcznym pobycie sunie do Anglii. Porządek, solidność wyspiarzy zachwycają go. Włochy i Francja paskudztwem od razu mu się wydają.

Bath, Bristol, Londyn, Bukaty, Litwin przerobiony na lorda, jego mentorem. Poznaje Paoli, starego rewolucjonistę, o którym jako dzieciak czytał drzemiącemu ojcu z gazety. Słucha w parlamencie Pitta, Foxa, Burke'a, Sheridana, Greya — szczyty elokwencji jego zdaniem. Uczy się zapamiętale po angielsku, by ich rozumieć.

Książę Walii spotyka go w towarzystwie, słyszał że świetny tancerz, prosi o zademonstrowanie polskiego narodowego tańca — kozaka. Niemcewicz tańczy z Seweryną Potocką, wszyscy zachwyceni, uczy przyludów późniejszego Jerzego IV-go.

Cztery miesiące siedzi w Anglii. Przez Holandię — czystą i nudną, przez Niemcy — brzydkie sknery, przybywa do Wiednia na samo Boże Narodzenie 1785 roku. Zastaje księcia Adama, zdaje relację, czyta mu swój dziennik podróży. Książę wielce rad:

— Kochany mój panie Julianie, widzę żeś nie zmarnował swojego czasu i moich pieniędzy.

(cdn.)

CBB.2552/1958/0